LEGENDY

WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO

LEGENDY

WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO

QUIXI MEDIA
www.quixi.pl

4 O CUDOWNYCH JABŁKACH (BIAŁA RAWSKA)
9 O GARNCARZACH Z BOLIMOWA
14 BOLESŁAW ŚMIAŁY I PIĘKNA KRYSTYNA Z BURZENINA
19 O HARDYCH DZIĘCIOŁACH (CZARNOŻYŁY)
24 O CZYM SZUMIĄ DĘBY W GŁOWNIE
29 O TURCZYNKACH Z GOSZCZANOWA
34 JAK BORUTA KOLEGIATĘ W TUMIE CHCIAŁ PRZEWRÓCIĆ (GÓRA ŚWIĘTEJ MAŁGORZATY)
38 O ŚWIĘTEJ, CO GÓRĘ Z KAMIENI USYPAŁA (GÓRA ŚWIĘTEJ MAŁGORZATY)
42 O ZAMKU BEZ SIEKIERY BUDOWANYM (GRABÓW)
46 JAK MAJSTER GAŁĄZKA DWÓR NA WODZIE STAWIAŁ (KODRĄB)
51 O RÓŻY Z HERBU KSAWEROWA
56 JAK BORUTA ŚWIDER GÓRNIKOM PORWAŁ (ŁĘCZYCA)
61 O TYM, SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA ŁÓDŹ
66 O TYM, JAK MAK Z DĘBEM ROZMAWIAŁ (MAKÓW)
71 O ZJAWIE Z CHOTOWA (MOKRSKO)
76 O RZECZCE OCHNI I DZIELNEJ WDOWIE (NOWE OSTROWY)
81 ŻYWE KAMIENIE Z OSJAKOWA
85 O KRUKU I OWCY CO KSIĘCIA ROZBAWILI (OZORKÓW)
90 O TYM, KTO STRASZNEGO PAJĄKA POKONAŁ (PAJĘCZNO)
94 WĄWÓZ KRÓLOWEJ BONY (PĄTNÓW)
99 ŹRÓDEŁKO OBJAWIENIA (PĄTNÓW)
104 O GEOMETRYCZNYM ŚRODKU POLSKI (PIĄTEK)
108 TAJEMNICE KSIĄŻĘCEGO ZAMKU (POWIAT RAWSKI)
113 DUCH NIEWIERNEJ W KALEŃSKIM PAŁACU (SADKOWICE)
118 JAK ANDRZEJ LICHO POKONAŁ (SŁUPIA)
123 O TYM, DLACZEGO SPAŁA SPAŁĄ SIĘ NAZYWA
127 O TYM, JAK PREZYDENT MOŚCICKI W SPALE BYWAŁ
132 O ŁUCZNICZCE BOGNIE (STRZELCE)
137 O STRZELCU JANIE (STRZELCE WIELKIE)
142 JAK EKONOM CARSKIEGO POLICJANTA SIĘ POZBYŁ (WITONIA)
147 O TYM, CO SIĘ W JESIENNĄ RÓWNONOC ZDARZYŁO (WITONIA)
151 O HANECZCE I WYCINANKACH (ZDUNY)

1

BIAŁA RAWSKA

O CUDOWNYCH **JABŁKACH**

Wśród bujnych sadów i lasów, w sercu Mazowsza, leży Biała Rawska. Wieś – dziś miasto i siedziba gminy – leżała niegdyś przy szlakach handlowych, rozwijała się więc pięknie, choć w kilkusetletniej historii ma chwile prawdziwej grozy. Potop szwedzki w XVII wieku zmiótł Białą z powierzchni ziemi niemal całkowicie. Zburzono chaty, wypalono spichlerze, rozkradziono dobytek – krajobraz po przejściu wojsk marszałka Stenbocka budził rozpacz. Mieszkańcy Białej musieli budować swoje życie od nowa.

W Białej Rawskiej nie było wtedy jeszcze sadów, ot, kto tam miał w zagrodzie wisienkę, kilka grusz czy jabłoni. Ale wojenne pożary strawiły przecież wszystko. Drzewa, niegdyś obficie owocujące, stały teraz spalone, wyciągając ku niebu czarne kikuty gałęzi. Taki widok ukazał się oczom powracających do domów kmieci. Wśród nich był Stach z żoną Jagodą i małym synkiem Kubą.

Odbudowa wsi nie była łatwa. Nie koniec to był jeszcze wojny, jeszcze z daleka dochodziły wystrzały, a czasem kilku żołdaków konnych zapuściło się dalej od frontu, by pustoszyć i tak biedną okolicę.

Tomasz Ściolny

Brakowało jedzenia. Kmiecie jedli lebiodę, dziki szczaw, łapali w sidła zające, polowali na małe ptaszki, ale ziemia, przez którą przeszło wojsko, niewiele mogła im dać. Bieda doskwierała wszystkim, w poszukiwaniu jedzenia wędrowali więc ludzie coraz dalej. Nie wszyscy wracali, o niektórych słuch zaginął na zawsze.

Na domiar złego nastało morderczo upalne lato. Studnie zaczęły wysychać, w Białce było widać dno. Jakby mało było głodu, brakło teraz także i wody. Wkrótce dziwne gorączki i słabości zaczęły trawić mieszkańców Białej. Pewnego dnia zachorował także i Kuba, synek Stacha. Chłopiec słabł z dnia na dzień.

– Zróbże coś, Stachu – błagała Jagoda ze łzami. – Dziecko nie przeżyje tej gorączki...

– Ale co mam robić, kobieto, dokąd pójść? – Stach patrzył na nią w rozpaczy. Nagle Jagoda zerwała się od posłania Kuby:

– Siedź tu, dawaj mu pić. Ja zaraz będę! – zawinęła zapaskę i gdzieś pobiegła.

Nie było jej czas jakiś, a gdy wróciła, wzrok miała pełen nadziei.

– U starej Paprotnej byłam – wyznała zaczepnie. Stach aż się żachnął. Zielarka Paprotna nie cieszyła się we wsi sympatią. Język miała jak pokrzywa, spojrzenie wrogie, dobrego słowa dla nikogo, ale co prawda, to prawda – wiedziała, jak zioła przyrządzać.

– Masz coś, dała ci stara lekarstwo?

– Nie – odrzekła Jagoda. – Nie ma ziół na to. Kuba musi dostać ugotowanych jabłek. Ruszaj w drogę, szybko. Znajdź owoce i wracaj.

Stach zmarszczył brwi... Gdzie tu mogła ocaleć w tej wojennej pożodze jeszcze jakaś jabłoń? Nagle uśmiechnął się do żony. Ona w pierwszej chwili nie pojęła, czemu chłop szczerzy zęby, toć dziecko im gaśnie w oczach, ale po chwili wiedziała już, dokąd pobiegnie mąż. I uśmiechnęła się do niego, ufna, że Kubę uda się ocalić.

Ruszył Stach w drogę z płóciennym workiem, modląc się w duchu do wszystkich świętych, by jabłoń, o której myśli, stała nietknięta i pełna owoców. A było to stare drzewo, rosnące głęboko w puszczy na polanie, na którą niełatwo było trafić. Gdy jeszcze Stach w zaloty chodził do Jagody, do wsi za lasem, nieraz pod tą jabłonią się spotykali, żeby pobyć ze sobą sam na sam...

Nie było to daleko, ale droga dłużyła mu się ogromnie. Chował się w rowie przydrożnym albo i w zaroślach, gdy tętent kopyt na gościńcu zwiastował pojawienie się jeźdźców. Nie był to czas na zawieranie przygodnych znajomości... Zmęczony był upałem, głodny, tracił siły. Pod wieczór ujrzał przy drodze śpiącego, jak mu się zdawało, sąsiada z Białej. Szarpnął go za ramię i aż krzyknął w głos ze zgrozą! Mikołaj nie żył. Wyprawa w poszukiwaniu jedzenia zakończyła się dla niego tragicznie. Stach nie miał już sił iść dalej, usiadł pod drzewem na rozstajach, ale nie mógł też zasnąć, dopiero nad ranem zapadł w krótki i dziwny sen. Przyśniło mu się, że synowi leżącemu na łożu śmierci podaje małe jabłuszko, a Kuba wraca do zdrowia i uśmiecha się szczęśliwy... Widział swoją chatę w cieniu pięknych drzew, uginających się od owoców, widział, jak z rodziną pracują w polu... Ocknął się nagle, jak koń spięty ostrogą, zerwał się na równe nogi i pomaszerował dalej.

W południe dotarł w końcu na polanę. Była tam! Ogromna i bardzo stara jabłoń ocalała, a co więcej, uginała się od owoców! Zjadł kilka, ożywił się, wzmocnił, napełnił swój kapelusz, torbę i kieszenie. Co prędzej ruszył do domu, a leciał jak na skrzydłach, żeby tylko zdążyć.

Karmiony gotowanymi jabłkami Kuba zaczął odzyskiwać siły i wkrótce wyzdrowiał. Jagoda zaniosła w podzięce starej Paprotnej pełną zapaskę owoców, a po krótkiej naradzie postanowili podzielić się też z sąsiadami. Wkrótce po jabłka z leśnej jabłoni wyruszyło razem ze Stachem kilku chłopa ze wsi. Wzięli wózek, ale też widły, cep i kłonicę, tak na wszelki wypadek.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – powiedzieli sobie – jakby co do czego przyszło, żywcem się wziąć nie damy.

Tym razem droga okazała się bezpieczna, a pogoda nieco łaskawsza. Co więcej, na miejscu okazało się, że wokół jabłoni rośnie już mnóstwo dziczek, których przejęty Stach w ogóle wcześniej nie zauważył, na wóz trafiły więc nie tylko owoce, ale i wykopane z ziemi sadzonki. Po powrocie kmiecie posadzili je przy swoich domach. Wkrótce wszystkie domostwa w Białej obsadzone były jabłonkami.

Choć rawską ziemią targały jeszcze różne inne niepokoje, wokół powstały wkrótce pierwsze większe sady, a owoce zaczęto sprzedawać i wymieniać je na inne płody ziemi, na narzędzia i potrzebne sprzęty. Ludzie nie chodzili już głodni.

I tak to Biała Rawska z biegiem lat stała się jabłkowym sercem Polski. Puszcza ustąpiła nieco miejsca sadom – jest ich tu jak okiem sięgnąć, pięć tysięcy hektarów, a zbiory idą w setki tysięcy ton rocznie. ♦

2

BOLIMÓW

O GARNCARZACH Z BOLIMOWA

Na skraju wielkiej, starej puszczy leży Bolimów, który przywilejem miejskim szczyci się od XIV wieku, choć znacznie jest starszy. Już tysiąc lat temu istniał tu gród, wokół którego rozkwitła osada targowa.

Bolimowianie, jak to bywało dawniej, żyli z uprawy ziemi, z handlu, ale i z rzemiosła. Czym się trudnili? Byli wśród nich szewcy, stolarze, sukiennicy, szynkarze, piwowarzy, kołodzieje, wiadomo – ale przede wszystkim garncarze. Przez wiele pokoleń to właśnie garncarstwo było jednym z głównych zajęć bolimowian, mieli tu nawet cech garncarski. Choć do dziś przetrwał tylko jeden warsztat, kiedyś w Bolimowie było ich aż dwadzieścia! Tutejsze misy i dzbanki toczone z czerwonej gliny, malowane na pobiałce, słynęły na całą okolicę – i nie bez powodu. Na targach w Łowiczu, Skierniewicach, Sochaczewie wszyscy pytali o bolimowskie garnki, bo i w całej Polsce drugich takich nie znajdziesz do dzisiaj. Te wyjątkowe wzory na tle jasnej polewy można zobaczyć

tylko na miejscowych wyrobach: lekkie jak muśnięcie piórka płatki kolorowych kwiatów, delikatne kreski łodyżek, zawijasy...

Pewnego dnia dołączył do tych deseni najbardziej charakterystyczny i niepodrabialny – bolimowski ptaszek. Skąd sfrunął na tutejsze dzbanki? Jest o tym opowieść, i już sam ten fakt czyni go niezwykłym. Bo jaki jeszcze wzór ceramiki ma taką historię jak ptaszek z Bolimowa? No właśnie – żaden!

A było to tak. W pewien upalny, letni dzień mistrz garncarski, pan Walenty, wcześnie rano zaczął pracę na kole. Niełatwa to robota, dużej wprawy wymagająca. Komuś, kto z boku patrzy, może się zdawać, że ot, koło się kręci, palce formują misę czy dzbanek – co w tym trudnego? A gdyby sam usiadł do koła, zaraz glina go pokory nauczy. Ale mistrz Walenty te nauki miał już dawno za sobą. Niejeden dzbanek mu się w rękach rozpadł, niejedna misa w piecu pękła. Teraz już pewną dłonią toczył nowe naczynia, zatopiony w myślach, skupiony na pracy.

Do południa utoczył dość dzbanków, by spokojnie pójść do domu na obiad. Wyniósł je na deskach przed pracownię i zostawił do przeschnięcia. Kartofle ze słoniną smakowały wybornie po pracowitym poranku, a zimne zsiadłe mleko najlepiej chłodziło w upale. Prawdę powiedziawszy, po obiedzie go ogarnęła lekka senność. Mruknął serdecznie do żony słowo podziękowania za posiłek, usiadł na ławce przed domem, zamknął oczy, nasunął na czoło słomkowy kapelusz i odpłynął na dobry kwadrans. Śniło mu się, że leci gdzieś na leciutkich, białych obłoczkach, wśród kołyszących się malw i chabrów, jak wymalowanych na bolimowskich dzbankach.

Ocknął się nagle, czując chłód na twarzy – to wielka chmura przesłoniła słońce.

– Trzeba wnieść dzbanki do środka – powiedział do siebie półgłosem – a nuż zaraz deszcz lunie.

Dźwignął się z ławki niechętnie, przeciągnął i poszedł do pracowni. Ledwo za róg chałupy wyszedł, stanął jak wryty. Co to! Wszystkie dzbanki poprzewracane, cała robota na nic! Co tu się wydarzyło? Podszedł bliżej. Jakieś dziwne ślady, jakby pazurków? Dziurki? Od dzioba?

– Tuś mi, szelmo! – wyszeptał. Wśród naczyń siedział skulony sprawca zniszczeń: ptaszek, który skacząc po naczyniach tak posklejał sobie mokrą gliną skrzydełka, że nie zdołał odlecieć.

– I co ja mam teraz z tobą zrobić, co, łobuzie? Cała moja praca poszła na marne! – powiedział trochę do ptaszka, a trochę do siebie pan Walenty. Zły był, że dzbanki zniszczone, ale i żal mu było stworzenia. Serce miał miękkie, wziął maleństwo w dłonie i obmył delikatnie jego piórka z gliny. Posadził przerażonego, ale już czystego ptaszka na słońcu, na parapecie, i wziął się za naprawę naczyń. Co i rusz popatrywał na stworzonko, uśmiechając się pod wąsem.

– Wypuszczę cię, szelmo jedna, nie bój się. Jak tylko wyschniesz, pewnikiem sam pofruniesz. Ale wiesz co, za te psoty na zawsze już zostaniesz z moimi naczyniami. Na każdym dzbanku cię namaluję, łobuzie.

Mogło tak być? I pewnie było. Do dziś żywa jest ta opowieść w Bolimowie. Wielu tutejszych garncarzy ozdabiało swoje wyroby motywem ptaszka. W każdym z warsztatów rysowano go trochę inaczej, ale zawsze był i łypał oczkiem spośród delikatnych łodyżek.

Podobne, równie delikatne, a jednak nieco inne wzory zdobiły majoliki z farfurni – tak dawniej zwano fabryki porcelany – pana Radziwiłła w nieodległym Nieborowie. W Fabryce Fajansów Artystycznych i Kafli Piecowych, którą książę założył w 1881 roku, zatrudniał i artystów z warszawskiej szkoły rysunku wybitnego malarza Wojciecha Gersona, i miejscowych garncarzy, i samorodne talenty z okolicznych wsi. Zdobiono tamtejsze wyroby według wzorów włoskich i francuskich, ale skoro wśród pracowników byli i bolimowianie, wymiana talentów musiała przecież działać w obie strony.

Pan Walenty z naszej opowieści to prawdziwa postać, urodzony tuż po Powstaniu Styczniowym w słynnym garncarskim rodzie Konopczyńskich. W wywiadzie, jakiego udzielił pewnej gazecie pod koniec życia, w latach 30. XX wieku, wspomina o tym, że jako młody czeladnik pracował w fabryce majoliki u Radziwiłłów i uczył się zdobienia naczyń na włoską modłę. Po upadku farfurni założył własny warsztat, malując na dzbankach łowickie kwiaty i własne, wymyślone przez siebie wzory.

Cech garncarski w Bolimowie istniał jeszcze w pierwszych dekadach XX wieku. Do wielopokoleniowych rodzin garncarskich należeli Stobieccy, Waliccy, Skrońscy. Duże warsztaty prowadzili: Stefan Witkowski, Kazimierz Cegłowski, Aleksander Witkowski, Walenty Smela, Paweł Kochański i właśnie Walenty Konopczyński. Warsztat rodziny Konopczyńskich działa nieprzerwanie od ponad 200 lat. Dziś prowadzi go praprawnuczka Walentego z mężem. Ciekawostką jest, że naczynia z Bolimowa można zobaczyć w wielu polskich filmach historycznych: do serialu „Chłopi" utoczył garnki Czesław Smela, a warsztat Konopczyńskich wykonał naczynia do „Faraona", „Krzyżaków", „Ogniem i Mieczem", „Dziejów mistrza Twardowskiego", a ostatnio do serialu „Korona Królów". ♦

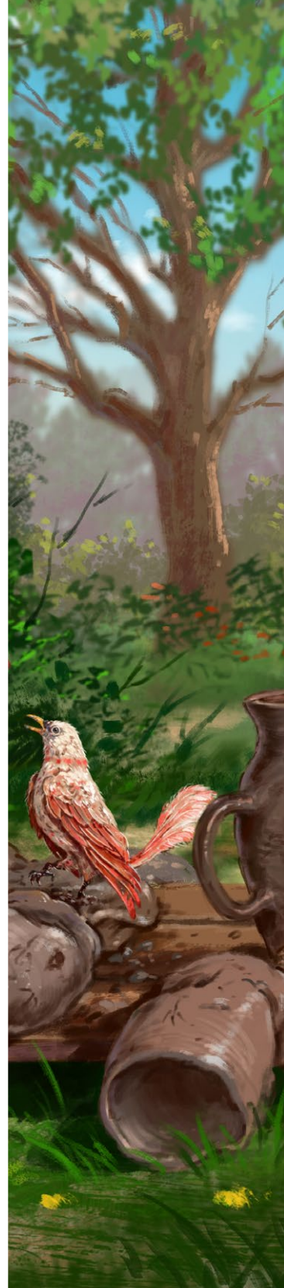

BURZENIN

BOLESŁAW ŚMIAŁY I PIĘKNA KRYSTYNA Z BURZENINA

Zamknij na chwilę oczy i wyobraź sobie, miła czytelniczko, drogi czytelniku, taki obraz. Oto średniowieczna komnata. W samym centrum malowidła – krwistoczerwona zasłona z aksamitu, obszyta gronostajem. Na jej tle – król z piękną dziewczyną. Smagły, czarnobrody, rozgniewany król z głową gwałtownie zwróconą ku półotwartym drzwiom, ku biskupowi w złotych szatach, który ośmielił się tu wtargnąć i z ręką wzniesioną ku niebu wygłasza teraz upomnienie. „Wszystko tu wre i płonie! Wszystko tu kipi, grzmi i grozi: grzmi św. Stanisław, grozi król zaskoczony znienacka…", pisał o tym obrazie współczesny krytyk.

Co tu się wydarzyło? Skąd te emocje, skąd to napięcie? Jan Matejko, malarz polskiej historii, wielki romantyk, tak przedstawił dramatyczną scenę z biskupem Stanisławem, który wdarł się do królewskiej komnaty, by skarcić Bolesława Śmiałego. Na obrazie są trzy

osoby, ale rzecz rozgrywa się tylko między królem a biskupem – między władzą świecką a duchowną, między porządkiem z tego i nie z tego świata. Piękna dziewczyna patrzy w bok, jakby nieobecna, jak gdyby nie jej dotyczyła cała ta historia. A przecież to o nią tutaj chodzi!

Kim była ta legendarna piękność? Pisano o niej w dawnych kronikach: Krystyna z Burzenina, Buszenina albo Bużenina, „urodą przewyższająca inne kobiety". Na obrazie Matejki ma przepastne, ciemne oczy, długie włosy i jasną cerę. Była żoną komesa burzenińskiego Mścisława herbu Poraj. Miała „obyczaje przyjemne i ujmującą wymowę, którymi to przymiotami porywała jakoby na wędkę spoglądających na nią ludzi". Niejednego widać oczarowała wcześniej.

Czas więc najwyższy udać się na dwór Mścisława i zawrzeć z Krystyną bliższą znajomość. Mamy wiek XI, a komes to ważna postać w średniowiecznej administracji. Czy zachowały się w Burzeninie jakieś ich ślady? Najwcześniejsze wzmianki o tej urokliwej miejscowości nad Wartą są dużo późniejsze niż opisywana tu historia. W XIV wieku na pewno była tu osada targowa, a więc i miasteczko, ale wcześniej? Zabytki, które można zwiedzać dziś na terenie gminy, są także z późniejszych czasów, pozostaje więc nam znów zamknąć oczy i wyobrazić sobie zamek Mścisława nieopodal brzegu rzeki, otoczony lasami pełnymi zwierza, jagód i grzybów...

Mścisław musiał mieć bogaty dwór, więc jego piękna żona mogła się cieszyć i złotą biżuterią, i haftowanymi trzewikami z najmiększych skór. Suknie nosiła długie, z rękawami ciasno opinającymi nadgarstki, a jako mężatka – białogłowa – musiała okrywać głowę białą chustą. Miała też pewnie stos futer na zimowe mrozy, gdy ogień huczący w paleniskach nie mógł dobrze ogrzać domostwa.

Czy to takiego właśnie zimowego wieczoru gościli u siebie króla w podróży? Czy to znad sobolowego futra spojrzały na Bolesława płonące oczy Krystyny? A może nie, może to było latem? Trwa letnia burza z piorunami, a król porywa Krystynę i jadą, jadą, co koń wyskoczy... A może jeszcze inaczej było? Może rycerz Mścisław śliczną i rozumną żoną chciał się na dworze królewskim pochwalić i to on zabrał ją ze sobą w podróż? Piękna i miła Krystyna

spodobała się królowej i została jej dwórką. A wtedy spodobała się też królowi...Oj, Krystyno, może to ciebie błędna gwiazda zwiodła, gdy w oczy Bolesława spojrzałaś pierwszy raz?

Źle się stało, że Bolesław małżonkę swoją, królową, oddalił z dworu. Stracił głowę zupełnie. Matki syna pierworodnego tak lekceważyć król nie powinien. Wkrótce też Krystyna dzieciątko pierwsze urodziła Bolesławowi. Gadali jedni, że martwe przyszło na świat, inni, że tak chore, że lepiej byłoby dla niego martwym się urodzić, ale wszyscy zgodni byli, że to pomsta boża.

Mścisław zaś puścić płazem hańby swojej nie zamierzał. Choć początkowo zapadł się w sobie, sczerniał na twarzy, schudł i posiwiał, to przecież pragnienie zemsty na Bolesławie trzymało go przy życiu. Nie to nawet, żeby niewierną żonę dostać z powrotem, ale odegrać się, nie być pośmiewiskiem wśród stanu rycerskiego... Wiedział, że sam jeden przeciw władcy nic nie wskóra, zaczął więc zbierać i buntować panów możnych. A wielu z nich miało dosyć rządów Bolesława, wiecznych wojen, jego uporu i żelaznej ręki. Nie chcieli być posłusznymi dłużej. Znalazł więc Mścisław posłuch i spisek przeciw królowi zawiązał, wciągając doń także znanego i poważanego biskupa Stanisława.

Ten studził nastroje i tłumaczył rycerzom, że nie czas jeszcze nowego króla szukać, ale obiecał przemówić do władcy, skarcić go, przywołać do opamiętania, a jeśli trzeba będzie, klątwę nałożyć. I tak uczynił – co opisali najpierw kronikarze, a Matejko kilka wieków później namalował. Lecz gniew królewski był straszliwy, i kara przeciw biskupowi-zdrajcy sroga może i ponad miarę. Porywczy władca skazał Stanisława na śmierć – ale to już zupełnie inna opowieść...

Tak od tego jednego spojrzenia w oczy króla fala za falą poszła, jak kręgi na wodzie od kamienia rzuconego się rozchodzą – tragiczne koleje losu, gniew, ból i śmierć.

Ale zaraz... czy wiecie, że Krystyna z Burzenina nie istniała naprawdę? Wymyślił ją Jan Długosz, kronikarz dziejów Polski – dobrych pięć wieków po śmierci króla Bolesława. A późniejsi pisarze i malarze w XIX wieku – Józef Ignacy Kraszewski, Jan Matejko – puścili wolno wodze fantazji. Konflikt biskupa Stanisława z władcą także miał całkiem inne tło, bardziej złożone i polityczne.

Tylko że to zupełnie nie ma znaczenia. Jeśli nawet nie było Krystyny, tej właśnie, wymyślonej przez kronikarza żony komesa z Burzenina, to przecież historia pełna jest opowieści o takich tragicznych uczuciach. Tak było przez wieki, tak bywa i dziś. Legendy, baśnie, sztuki teatralne, malarstwo – a dziś przecież nawet seriale – chętnie podchwytują takie tematy.

Bo czy to Londyn, Monako, czy Burzenin sprzed tysiąca lat, na wielkie i dramatyczne miłości – zwłaszcza gdy dotyczą rodów królewskich – nie ma rady, ani na ziemi, ani w niebie. ♦

4

CZARNOŻYŁY

O HARDYCH **DZIĘCIOŁACH**

Gdy przez las idąc, usłyszysz dzięcioła z prawej strony – to na szczęście. Gdy z lewej – nieszczęście pewne wróży. A już gdy koło chaty twojej stuka, albo – co nie daj Boże – w ścianę – śmierć rychłą wieszczy, mówią ludowe porzekadła.

Ale co tu robić, gdy nazwa twojej miejscowości oznacza właśnie dzięcioła, a i ptaków w okolicy nie brakuje?

Cóż, jeśli słyszysz je i z lewej, i z prawej, i koło domu, to wiedz, że po prostu żyjesz. Żyjesz zwykłym – czyli najwspanialszym z możliwych – życiem, w którym po równo masz wszystkiego, co się człowiekowi należy: i radości, i smutku.

Za takich szczęściarzy mogą się uważać mieszkańcy Czarnożył. W dorzeczu Pysznej i Oleśnicy, na skraju Jury Krakowsko-Częstochowsko-Wieluńskiej, na rozległej mazowieckiej nizinie leży ta wieś, której nazwa dziś już z dzięciołami nikomu się nie kojarzy.

A jednak – dawniejsza ludowa nazwa dzięcioła to żołna. Obfitość dzięciołów-żołn w lasach, otaczających osadę w najwcześniejszych wiekach, sprawiła, że miejsce to zaczęto

nazywać najpierw Czarnożołnami, a potem – bo ludziska lubią skracać i upraszczać nazwy – Czarnożyłami.

Dzięcioł w drzewo stukał, dziewczę płakało... śpiewa Maryla Rodowicz tekstem Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, i – jak się pewnie domyślacie – nie jest to jedyna obecność dzięcioła w wierszach i w ogóle w kulturze. Ludowe porzekadła, a i teksty piosenek, nie biorą się przecież ot, tak, znikąd. Mają zawsze głębokie korzenie w dawnych wierzeniach i legendach.

Dziś wiemy o dzięciołach mnóstwo, znamy ich biologię, wiemy, jak niezwykle są pożyteczni ci pielęgniarze drzew, wiemy, jak wspaniałe dziuple potrafią wykuć w pniu drzewa, no i – co najważniejsze – niektóre ich gatunki objęliśmy ochroną, bo zagrożone są wyginięciem. Jednak ta ścisła wiedza niech nam nie przeszkadza smakować stare legendy i opowieści, które dziś mogą śmieszyć, ale i wzruszać. O dzięciołach – ho, ho – jest ich tyle, że starczyłoby do rana! I to nie tylko naszych rodzimych. Opowiada sobie o tych ptakach pół świata. Wszędzie tam, gdzie stukają w drzewa – od Marrakeszu po Wyspy Kurylskie – znają ludzie niezwykłe historie o dzięciołach. A to taką, że zna dzięcioł jedną trawkę, która wszystkie zamki otwiera, a to taką, że deszcz umie zaklinać...

Ale jedna z najciekawszych opowieści mówi o tym, jak się dzięcioły Panu Bogu sprzeciwiły i co z tego wynikło. Posłuchajcie, było tak.

Na samiutkim początku wszystkiego, gdy Pan Bóg ulepił już całą ziemię, z morzami i górami, lasami, zwierzętami i ptactwem, i człowiekiem, odpoczął sobie po tym trudzie, a potem spojrzał jeszcze raz na swoje dzieło i zawołał do siebie archanioła Uriela – tego, który zajmuje się ekologią. I powiedział:

– Popatrz, Urielu, chyba trzeba dorobić tu jeszcze trochę stawów i jeziorek. Wydaje mi się, że za mało będą mieli słodkiej wody.

A Uriel rzekł mu na to:

– Będzie, jak sobie życzysz.

– Dobrze – odesłał go Pan Bóg do roboty gestem dłoni. – Zajmij się tym i wróć, jak będzie gotowe.

Poszedł więc Uriel i pomyślał tak: ptaki niebieskie nie sieją, nie orzą, niech się czymś zajmą. Zawołał do siebie całe ptactwo z kuli ziemskiej, poza pingwinami, bo ich to nie dotyczyło, i mówi:

– Moje kochane ptaki, jest robota do zrobienia. Dłubiemy dodatkowe stawy i jeziorka. Szef kazał.

Ptaki nie pytały dwa razy, tylko wzięły się do pracy, i już ziemia, żwir i kamyczki im spod dziobów leciały. Tylko dzięcioły fruwają gdzieś dookoła, piasku nie dziobią, błotka nie noszą – co jest grane? Woła je Uriel:

– A wy co?

A dzięcioły mu na to hardym głosem:

– A my nic!

Oj, zmarszczył brwi Uriel. A jak archanioł zmarszczy brwi, to wiecie – chmura na słońce nachodzi. Zatrzymały się więc ptaki w robocie, patrzą, co to będzie.

– Weźcie się do pracy – mówi Uriel do dzięciołów, ale takim głosem, że aż zimno się wszystkim zrobiło.

– A nie weźmiemy się – dzięcioły na to. – Pióra sobie pobrudzimy i w ogóle. Nie chce nam się. O, pingwiny też nic nie robią.

Uriel tylko westchnął ciężko. Nie ma co z łobuzami dyskutować, pomyślał. A kiedy praca była skończona i nowe jeziorka i stawy wydłubane, podziękował pięknie wszystkim ptakom i poszedł zdać relację Panu Bogu.

Gdy Stwórca usłyszał o dzięciołach, kazał je wołać do siebie. No, tu już dzięcioły takie harde nie były. Stoją z głowami spuszczonymi, ale przepraszać ani myślą. Rzekł więc Pan Bóg do nich:

– Nie podoba mi się wasza próżność i pycha, dzięcioły. Nie chciałyście pobrudzić piór, to od dziś nie pobrudzicie. Nie będziecie już takie kolorowe, tylko czarne.

– Ale jak to?! – wrzasnęły dzięcioły. – Za co?! Pingwiny...

– Pingwiny mają inne zadania. Nie podnoście głosu. Wy za karę będziecie szukać jedzenia pod korą drzew, i pić deszczówkę i rosę. Powiedziałem.

Dzięcioły odeszły obrażone i złe. Potem trochę im przeszło, jak pogadały z krukami, kawkami i wronami. Te im powiedziały, że czarne pióra nie są takie złe i że ludzie – strasznie głupi gatunek – respekt czują do czarnych ptaków i nie zaczepiają ich zanadto, a nawet smakołyki czasem dają, ze strachu przed złą wróżbą czy jakimiś podobnymi bzdurami.

I wtedy to dzięcioły zleciały się w tę okolicę, bo dobrze się tu mieszka i klimat przyjemny. Tyle ich tu przybyło, że w końcu ludzie zaczęli nazywać tę osadę Czarnożołnami – i już wiecie, jak się ta nazwa potem zmieniała. Jedno, co się nie zmieniło, to uroda tej ziemi, dobre powietrze i woda czysta. Dobrze się tu żyje i ludziom, i zwierzętom, i ptakom.

Aha, a przeprosić, to dzięcioły do dziś nie przeprosiły, ale Pan Bóg litościwe serce ma, więc niektórym dodał po kilka czerwonych piórek. Niech mają. ♦

5

GŁOWNO

O CZYM SZUMIĄ **DĘBY W GŁOWNIE**

Wśród wielu miast i miasteczek, które od średniowiecza rozkwitały na ziemi rawskiej, i Głowno ma do opowiedzenia swoją część historii. Pięknie położone, nad wodami i w otoczeniu lasów, wabi od dawien dawna przyjezdnych odpoczynkiem na łonie przyrody, ale przecież i przemysł mu nieobcy. I to właśnie z przemysłem w Głownie wiąże się pewna zupełnie niezwykła opowieść, tym bardziej nadzwyczajna, że prawdziwa. To o niej być może szumią najstarsze drzewa w Głownie, a mowę ich na duże nawet odległości przenosi chętnie wiatr. Które to tak sobie najczęściej szepczą, zapytasz? Są w mieście trzy najważniejsze: dwa dęby ponadstuletnie i jeden młodszy – to jemu właśnie starsi koledzy opowiadają niezwykłą historię, wartą zapamiętania.

Ten najmłodszy dąb rośnie w Głownie od niedawna – zasadzono go z okazji 100. rocznicy niepodległości Polski. Stare czasy pamięta natomiast dobrze Dąb Wolności, ogromne i dumne drzewo posadzone w 1928 roku na głównym placu miasta dla uczczenia dekady polskiej państwowości. Przyjechał on do Głowna ze spalskich lasów jako 25-latek – musisz wiedzieć, że dla dębu to zaledwie lata niemowlęce. I jest jeszcze trzeci stary i potężny dąb

– rośnie na cyplu nad wodą, w miejscu, które od niedawna nazywa się skwerem André Citroëna. Tak, dobrze kojarzysz – tego właśnie Citroëna, od znanej francuskiej marki samochodów.

A czy wiesz, że gdyby nie wizyta młodego André w starej walcowni miedzi i drutu we wsi Osiny, która dziś jest częścią Głowna, to na drogach i bezdrożach świata nigdy nie pojawiłyby się słynne Citroëny? Ta historia niezwykłego przypadku miała miejsce w 1900 roku, i o tym właśnie dwa stare dęby chętnie opowiadają swojemu młodszemu bratu. Jak zatem pan Citroën trafił do Głowna?

– Wyobraź sobie – szumią stare drzewa, a ich słowa dzięki pomocy wiatru szybko wychwytuje młody dąb – że zaglądasz przez okno do bardzo eleganckiej kamienicy, gdzieś w Warszawie. Jest dokładnie 14 kwietnia 1900 roku, piękna wiosna. Przy suto zastawionym stole siedzą właściciele fabryki w Osinach koło Głowna, ich sąsiad, bankowiec Bronisław Goldfeder oraz jego szwagier o imieniu André – młody Francuz, który przyjechał właśnie z wizytą prosto z Paryża, po zakończeniu nauk na tamtejszej politechnice.

… André Citroën był już śmiertelnie znudzony przeciągającą się wizytą u sąsiadów szwagra. Po wybornej – to trzeba przyznać – kolacji, panowie przeszli do biblioteki, panie zostały w salonie. Z trudem hamując ziewanie, André udawał, że słucha, co mówi gospodarz.

– Nie śpij! – usłyszał nagle syknięcie szwagra.

– Tak, tak, oczywiście! – przytaknął żywo, nie wiedząc kompletnie, na co się właśnie zgodził. Wizyta niebawem dobiegła końca, goście pożegnali gospodarzy. Nie zeszli jeszcze ze schodów, a już Bronisław zaczął:

– Czyś ty, chłopie, zwariował, w co ty nas wrobiłeś?

– Właśnie miałem cię o to pytać.

– Jedziemy jutro pod jakieś Głowno oglądać jakąś fabryczkę! Głowno! Jakbym nie miał nic innego do roboty! Ale słowo się rzekło i wycofać się nie wypada…

André wzruszył ramionami z tym typowym, jedynym w swoim rodzaju francuskim wdziękiem:

– *Pas de problème*, nie ma sprawy, z tego co się orientuję tam jest nawet ładnie. Pojedziemy na miłą wycieczkę, trochę się rozerwiemy i zanim się obejrzysz, będziemy z powrotem w domu.

Tymczasem w Głownie-Osinach działała prężnie walcownia miedzi pod nazwą „Towarzystwo Akcyjne Osińskiej Walcowni Miedzi, Mosiądzu i Drutu", zakład o ponad sześćdziesięcioletniej już wtedy historii, którą to dwaj panowie zobowiązali się obejrzeć. Kiedy tylko zaczęli zwiedzać fabrykę, oczy Andrégo rozbłysły: – Nigdy wcześniej nie widziałem takiego technologicznego rozwiązania! – wykrzyknął. – Myślę, że mam pomysł na jego wykorzystanie i chciałbym odkupić na nie patent!

Jego szwagier roześmiał się: – Mówisz poważnie? Co ty wiesz o przekładniach?

– Dość, żeby zrozumieć, do czego mogą posłużyć, zwłaszcza tego typu *mon cher*! – odpowiedział podekscytowany André.

Przekładni daszkowych, bo takie właśnie zobaczył młody Francuz, nie znano jeszcze wówczas, na początku XX wieku, we Francji. Koła z szewronami mogły przenosić większe obciążenia i pracowały znacznie ciszej niż zwykłe zębatki, nie zużywały się też tak szybko. Jako wykształcony inżynier, młody Citroën natychmiast dostrzegł potencjał tego nowatorskiego rozwiązania i wyobraził sobie przekładnie wykonane już nie z drewna, a ze stali. Kupił więc na nie patent, a po powrocie do Francji założył własną fabrykę. Podpatrzone pod Głownem koła o uzębieniu daszkowym we francuskiej wersji sprzedawały się znakomicie, a pan Citroën zaczął dobrze na nich zarabiać, pomnażał obroty swoich kolejnych firm i wciąż zdobywał nowe doświadczenia. Wizyta w Głownie okazała się zatem w jego życiu wydarzeniem przełomowym.

– Ale skąd wy o tym wiecie? – szumi niecierpliwie młody dąb. – Nie było was przecież tam, we Francji!

– Dzieciaku – chichoczą pobłażliwie dwa stare dęby – pożyjesz jeszcze trochę, wypuścisz nowe gałęzie i głębiej się zakorzenisz, to nauczysz się nie tylko mowy deszczu i wiatru, ale i zaczerpniesz z mądrości ziemi. Poznasz wówczas opowieści z jeszcze dalszych stron i dawniejszych czasów… Chcesz posłuchać, co było dalej? Bo najlepsza jest pointa

tej przygody – to, w jaki sposób pan Citroën upamiętnił swoją wizytę w Głownie.

– Pewnie, opowiadajcie!

– Słuchaj więc uważnie. Od wizyty André Citroëna w Głownie i zakupu patentu na przekładnie minęło prawie 20 lat. Skończyła się pierwsza wojna światowa, w Europie nastał pokój, zmieniły się też zupełnie granice państw, a Polska odzyskała niepodległość. Właśnie wtedy pan Citroën rozpoczął produkcję samochodów osobowych. Wyobraź sobie, że w logotypie swojej firmy kazał umieścić słynny i rozpoznawalny dziś na całym świecie wzór jodełki lub szewronu – dwa fragmenty daszkowej przekładni, które po raz pierwszy zobaczył w Głownie. Do dzisiaj figuruje on na każdym samochodzie tej francuskiej marki!

– Ojej, ale dlaczego jodełki, a nie dębu? – marudzi młody.

– Jodełka, jodła, kuzynka nasza, bardziej przypomina kształtem ten przełomowy wynalazek, niż nasze potężne postury. Nie bądź zazdrosny, dzieciaku – łagodnie strofują go stare głowieńskie dęby. – My figurujemy w herbach, w godłach narodowych, jesteśmy symbolem wytrzymałości i długowieczności. Czy to nam nie wystarczy? ♦

6

GOSZCZANÓW

O TURCZYNKACH Z GOSZCZANOWA

Z ziemi sieradzkiej przez Dzikie Pola nad Morze Czarne, i znów do Polski wiodły losy bohaterów tej opowieści. Choć przypomina ona baśnie z tysiąca i jednej nocy, to nie ma w niej słowa nieprawdy. Prawdziwe są osoby dramatu, prawdziwe zdarzenia i miejsca. A działo się to trzy wieki temu…

Opowieść ta zaczyna się w twierdzy w Zbarażu. Końca dobiegły straszne dni wielkiego oblężenia, gdy polska załoga broniła się ostatkiem sił przed naporem wroga. Ale straszniejszy jeszcze okazał się rozejm zawarty z wojskami chana Gireja. Ugodę okupiono srogim haraczem i setkami towarzyszy wziętych w jasyr. Był wśród nich młodziutki Staś Poniatowski, syn Adama – chorążego ziemi sieradzkiej, dziedzica Poniatowa, Goszczanowa i innych wsi okolicznych.

– Nie płacz aby, dzielnyś był i dzielny masz zostać. Honor to jedyne, czego ci nie zabiorą. Zresztą, może cię ojciec wykupi z niewoli – pocieszali go współtowarzysze.

Sami jednak nie bardzo w to wierzyli, i mieli rację. Tylko nielicznych udawało się wydobyć z jasyru, a tych, co trafili w turecką niewolę, czekał okrutny los. Zanim też wieść o pojmaniu

Staszka dotarła do Poniatowa, kupił chłopaka na targu w Stambule za 45 czerwonych złotych pewien wielmoża turecki i uwiózł gdzieś na Krym.

Czy szukał pan Adam syna? A jakże. Rozpytywał wracających z wojny, jeździł po dworach, grosza nie szczędząc, szukał i rozpaczał, mało tego – jako wotum w intencji powrotu dziedzica postanowił wznieść murowany kościół w Goszczanowie, pod wezwaniem św. Marcina i św. Stanisława. Aż z Włoch sprowadził architekta i rzemieślników, ufny w moc Bożą.

Tymczasem Stanisław w krymskim pałacu – gdzieś pod Kaffą czy Sudakiem – nadspodziewanie dobrze był traktowany. Dano go najpierw do pomocy w stajniach, ale że piękne uzdy z rzemyków wyplatał, które ogromnie się Turkom spodobały, szybko wszedł w pańskie łaski i niemal domownikiem został. Polubił go pan Kerem, a jeszcze bardziej córki pana Kerema, Sulejka i Fatima. I widział to ich ojciec.

– Słuchajże, Sefa – tak mówił do Staszka, nie umiejąc lub nie chcąc nauczyć się polskiego imienia – przyjmiesz wiarę Proroka, zyskasz wiele. Urzędnikiem będziesz mógł zostać, może wojskowym. Pomogę ci.

Staś jednak ani myślał wyrzec się swojej wiary, swojej mowy i co najważniejsze, nadziei na powrót na goszczanowską ziemię. Umiał zawsze zręcznie odwrócić uwagę pana Kerema, a ten nie nalegał zanadto, ufając, że czas przyniesie dobre rozwiązanie. Tym razem jednak bardzo się przeliczył. Nie miał bowiem pojęcia, że jego własne córki spiskują z młodym Lachem i knują plan ucieczki do Lechistanu.

Bo Fatima i Sulejka zakochały się w Staszku zaraz po jego przyjeździe, i trudno im się było dziwić. Rosły młodzieniec o niebieskich oczach i pszenicznych lokach tak się różnił od chłopców, których widywały w pałacu, jak dzień od nocy. Jak i kiedy doszło do tego, że pod samym nosem czujnego ojca Staszek w kobiecym przebraniu co wieczór przemykał się do haremu, że zauroczył obie dziewczyny opowieściami o dalekim Lechistanie – nie wiadomo.

Do spisku dołączył jeden ze stajennych, też Polak z jasyru, przyjaciel Staszka. I tak oto pewnej nocy napełnili juki suszonym mięsem i owocami, ściągnęli ze zbrojowni cztery kindżały, obwiązali końskie kopyta szmatami i po cichutku, w blasku księżyca, ruszyli w daleką i niebezpieczną drogę do Polski.

Wiele dni trwała ta wyprawa, i wiele groźnych przygód spotkało ich po drodze. Lewym brzegiem Dniepru, przez Dzikie Pola, Kijów, Lublin – z Krymu do Poniatowa droga daleka i niebezpieczna. Nie raz uciekać musieli co koń wyskoczy albo chować się po limanach… A razu jednego, już niedaleko Sieradza, w słynnej oberży Wrzaski, towarzysz Staszka powiedział, że dalej nie jedzie, bo zakochał się w karczmarce. I został na miejscu.

Staś, Sulejka i Fatima, zmęczeni, wychudzeni, obdarci, dotarli jednak cało do Poniatowa. Pędem, pędem, Staszek poganiał wycieńczone konie, by szybciej stanąć u bramy dworu! Jednak takiego powitania się nie spodziewał…

– Precz mi stąd! – obca jakaś kobieta, w sukniach jego matki, na ganku stała z kijem w dłoni. – Precz, bo psy spuścić każę!

– Kobieto, to mój dom rodzinny! Gdzie ojciec mój, gdzie matka, mów! Mów, ktoś ty? – wołał Staszek. Na nic. Już psy biegły do bramy, gotowe szarpać końskie boki. Staś spiął konia i wraz z Turczynkami odjechał do wsi, do gospody, by zasięgnąć języka, co tu się wydarzyło.

Dowiedział się, owszem. Miejscowi nie szczędzili mu opowieści o żałobie rodziców, o śmierci matki, o drugim ślubie Adama z panią Anną Łętowską, o tym, że ojciec, złamany bólem po stracie syna, niedługo cieszył się nową żoną, i że Staszek już tylko nad jego grobem zapłakać może.

Uradzili, że razem z mamką, która go wykarmiła i chowała w dzieciństwie, pójdą do dworu, i poświadczą, że to dziedzic zaginiony wrócił. Tak się też stało. Macocha musiała pogodzić się z utratą znacznej części majątku, choć miała nadzieję, że trafi on w ręce jej dzieci. Zapiekła w złości i rozczarowaniu, przyczajona, rozmyślała nad tym, jak się zemścić. Wściekła też była na Fatimę i Sulejkę, które przejęły gospodarstwo i coraz zręczniej sobie radziły jako panie domu. Wieś nawet przyjęła to do wiadomości, nie takie rzeczy po opłotkach się przecież dzieją – baby trochę pogadały po kątach, chłopstwo się pośmiało przy kuflu i tyle. Ksiądz pleban kręcił nosem i każdej niedzieli pytał Staszka, kiedy dziewczyny będzie mógł ochrzcić. A panowie szlachta z okolicznych dworów coraz to mniej życzliwie na dziedzica Poniatowskiego patrzyli.

Trzeba przyznać, że sytuacja była dość dziwna, i sam Staszek czuł, że musi coś z tym zrobić. Z obiema żenić się nie mógł, a dłużej mieszkać pod jednym dachem, jeszcze z macochą

na karku – nie da rady. Musiał wybrać. Ogłoszono, że będzie ślub. Jedna z sióstr miała zostać oddalona.

W ostatni wieczór przed ślubem Fatima i Sulejka zamknęły się razem w izbie, nikogo więcej nie wpuszczając. Długo w noc paliły się świece. Gdy nazajutrz rozbrzmiały weselne dzwony, obie – panna młoda i odrzucona – miały twarze blade i ciemne kręgi pod oczami.

Ślub był piękny, weselisko toczyło się hucznie, mięsiwa i gorzałki było w bród, aż wreszcie nastał czas oczepin. Podano miód z korzeniami. Nikt z dobrze już podchmielonych gości nie dostrzegł spojrzenia, jakie wymieniły ze sobą siostry. Obie jednocześnie podniosły do ust kieliszki z kordiałem. Wtem! Obie osunęły się na ziemię. Próżno je cucono, polewano wodą, podnoszono za ręce. Obie były martwe.

Siostrzana miłość okazała się silniejsza, mówili potem jedni, żadna nie chciała tak żyć, nie po to jechały taki świat drogi do wymarzonego Lechistanu, musiały się zabić same. Inni zaś obwiniali macochę, że z nienawiści i zazdrości otruła dziewczęta.

Nigdy nie wyjaśniono, jak umarły. Pochowano je w podziemiach goszczanowskiego kościoła – częściowo zmumifikowane ciała Turczynek spoczywają tam do dziś obok trumien Poniatowskich.

Ludzie mówią, że do dziś w księżycowe noce na polach za Poniatowem można zobaczyć dwa tańczące cienie w dłońmi uniesionymi w górę, i usłyszeć dziwne, jękliwe zawodzenie, jakby ktoś grał tęskną, wschodnią melodię na tureckim flecie. ♦

GÓRA ŚWIĘTEJ MAŁGORZATY

JAK BORUTA KOLEGIATĘ W TUMIE **CHCIAŁ PRZEWRÓCIĆ**

– Bo to, proszę ksindza dobrodzieja, jo nie wim, ale mnie się widzi, że tyn istny, co do panny naszy przyjeżdżo – Kaśka terkotała, jakby dzięcioł w drzewo stukał – to nic dobrego z tego nie byndzie, a zupełnie my syćkie nie wiemy, co robić, i mnie się widzi, że…

– Zaraz, dziecko, o czym ty mówisz? – ksiądz dobrodziej z tumskiej kolegiaty stał na drabinie w jabłoniowym sadzie i patrzył z góry na Kaśkę, służącą w najbogatszym gospodarstwie w parafii. Dobra to była dziewuszka, tylko w gorącej wodzie kąpana, gdy kogoś nieszczęście spotkało, ona pierwsza na ratunek biegła, i tak bardzo zawsze wszystkim chciała pomagać, że aż czasem po prostu przeszkadzała. Dlatego też ksiądz nie kwapił się do schodzenia z drabiny. – Z czego nie będzie nic dobrego?

– … że to som diabeł! – dokończyła Kaśka przerwane zdanie.

– W imię ojca i syna! – zachwiał się wielebny na drabinie, zakasał sutannę i czym prędzej zszedł do Kaśki. – Co ty pleciesz, dziecko? Mówże po kolei!

I opowiedziała Kaśka księdzu dobrodziejowi, co i jak. A sprawa była rzeczywiście dziwna bardzo… Bogaty gospodarz, u którego dziewczyna służyła, miał piękną córkę. Szedł tej

Wojciech Depczyński

pannie już rok dziewiętnasty, kawalerów sznur do niej ciągnął, ale dla ojca żaden nie był dość dobry. Ten miał za mało mórg, tamten – za chude krowy, inny znowuż – stodoły puste w połowie. Panna może by i któregoś wybrała, ale ojciec się na żadnego nie zgadzał. Nareszcie pojawił się jeden, którego na razie nie odesłał. Ten z daleka widać być musiał, bo w okolicy nikt o nim nie słyszał i nie wiedział, kto to taki. Pan pewnie był zamożny, bo powozem pięknym do panny zajeżdżał, w czwórkę koni zaprzężonym, a powóz ów – jak donosiła Kaśka – miał nie tylko kryształowe szybki, ale także złote szprychy. Lub przynajmniej pozłacane.

– Dziecko – przewrócił oczami wielebny – mów do rzeczy.

– Ale! – zawołała wzburzona Kaśka – Widzioł ksiundz kiedy taki powóz? Musi co som diabeł takim jeździ, i nikt inny!

Dobrodziej zlekceważył gadanie o złotych szprychach, ale coś w paplaninie dziewczyny go zaniepokoiło. Rada w radę uradzili, że na ojca nie ma co liczyć, ale wszystkie sługi staną za panną murem, gdyby to rzeczywiście diabeł miał się do niej zalecać. I uknuli plan.

Jeszcze więc tego wieczoru ksiądz dobrodziej, nie bacząc na powagę urzędu, siedział ukryty w beczce po kapuście na podwórzu najbogatszego gospodarza w parafii. Przejęty swoją misją, która miała polegać na zidentyfikowaniu przedstawiciela piekieł, już trzeci raz odmawiał w myślach litanię do świętego Michała Archanioła, któremu, jak wiadomo, żadna siła piekielna nie da rady.

Wtem na drodze dał się słyszeć tętent. Przejęty dobrodziej przyłożył oko do otworu po szpuncie i ujrzał, jak powóz zajeżdża na podwórze. Drzwiczki uchyliły się, w świetle pochodni błysnęły dziwnie kryształowe szybki… Pan, który wysiadł z powozu, miał długi płaszcz z lśniącej materii, przetykanej jak gdyby srebrną nicią, trójkątny kapelusz i skórzane rękawice do łokci. Przeszedł koło beczki i wtedy oko dobrodzieja dostrzegło ogon! Czarny ogon z długim chwostem na końcu, wystający spod poły płaszcza!

– Boruta… – wyszeptał ksiądz dobrodziej.

Ledwo przybysz znikł w drzwiach domostwa, ksiądz dobrodziej wyskoczył z beczki i pognał za oborę, gdzie czekała na niego Kaśka z kilkoma jeszcze sługami. Szeptali gorączkowo przez dobre trzy kwadranse, aż uzgodnili dokładnie, co i jak zrobią.

Od tamtego wieczoru minęło kilka tygodni. Całe domostwo pochłonięte było przygotowaniami do ślubu panny z bogatym zalotnikiem. Wszystko działo się tak, jak powinno, oprócz tego, że – nie wiedzieć czemu – ksiądz dobrodziej jeździł kilka razy aż do samej Warszawy. Mówili jedni, że omawia jakieś ważne sprawy z arcybiskupem Woroniczem, inni – że szuka majstrów od sztab i kłódek, żeby wzmocnić drzwi kolegiaty.

I jedno, i drugie było prawdą. Gdy nastał dzień ceremonii, ksiądz dobrodziej wydobył pęk ogromnych kluczy i… zamknął pannę w kościele! Na tym polegał uknuty z Kaśką i sługami plan. Nic o tym nie wiedział niedoszły „pan młody”, łęczycki diabeł Boruta. Kiedy zajechał pod kolegiatę, by porwać pannę i uwieźć ją w nieznane, zamiast oblubienicy ujrzał zamknięte drzwi kościoła, a przed nimi dzielnego księdza dobrodzieja, uzbrojonego w wielki krucyfiks.

Ooo, straszny był czarci gniew! Cztery konie z karety zamieniły się w wielkie węże, plujące jadem, Boruta zaś przyjął swą prawdziwą postać – rogatego i kosmatego czarta z rozdwojonym jęzorem i wielkimi, strasznymi szponami! Jak tupnie kopytem, ziemia pęka! Jak ryknie, dachówki lecą z dachu! Rozkłada skrzydła niczym nietoperz i wzlatuje ku wieży kościelnej, chwyta ją pazurami i próbuje obalić! A ksiądz dobrodziej trwa u wrót, mówi litanię do świętego Michała Archanioła i ani drgnie. Boruta syczy i szarpie, spod pazurów iskry lecą, a wieża kolegiaty stoi niewzruszona. Boruta targa i plugawym językiem przeklina, a wieża nawet się nie zachwieje!

I stoi do dziś dumnie, z granitu, piaskowca i kamienia polnego wzniesiona – wyjątkowa archikolegiata w Tumie, jedna z najstarszych świątyń w Polsce, niemal tysiąc lat mająca.

Ślady pazurów diabelskich tylko na krawędziach ścian do dziś oglądać można, co po furii szatańskiej zostały tamtego dnia pamiętnego, w 1820 roku. ♦

GÓRA ŚWIĘTEJ MAŁGORZATY

O ŚWIĘTEJ CO GÓRĘ **Z KAMIENI USYPAŁA**

Niezwykłe to miejsce – Góra Świętej Małgorzaty. I nazwę ma niezwykłą, i położenie – bo wśród żyznych pól i łąk, na równinie płaskiej jak okiem sięgnąć, wyrasta nagle… właśnie góra. Skąd taka na Mazowszu polnym? Mówią jedni, że nic w tym tajemniczego nie ma, że to ostaniec polodowcowy. Gdy młoda jeszcze Ziemia nie wiedziała sama, jak chce wyglądać, piętrzyła to tu, to tam góry i pagórki, przepychała z miejsca na miejsce lodowce, a masy żwiru, kamieni i piachu formowały podobne wzgórza. A znowu inni mówią inaczej – że góry żadnej nie było tam wcale, aż pewnego dnia…

Dawno, dawno temu – ale nie aż tak dawno, by pamiętać wędrówki lodowców – żyła sobie święta Małgorzata. Umiała ona nie tylko znakiem krzyża poskromić smoka, ale znała też trudniejszą znacznie sztukę: wiedziała, jak mądrym słowem i życzliwym gestem otwierać twarde ludzkie serca. Chodząc po świecie, niosła pomoc każdemu, kto poprosił, a i takim, co prosić się lękają albo nie potrafią.

Mówią więc ludzie, że razu pewnego święta Małgorzata zaszła aż tutaj, na Mazowsze. Kto wie, może poskromiłaby i Borutę, słynnego czarta z łęczyckich lochów, gdyby tylko go

Wojciech Depczyński

spotkała – ale zdarzyło się inaczej. Nie dane jej było zajść do Łęczycy. Jesień tamtego roku była ponura, burzowa, co i raz musiała święta szukać schronienia przed deszczem. Zmęczona już była, a tu znów niebo zaniosło się czarnymi chmurami i nawałnica lada moment miała ją dogonić. Na szczęście niedaleko widać było kilka chat. Nim spadły pierwsze krople, Małgorzata stukała już do najbliższego domostwa.

– Czego? – burknął tęgi chłop, ledwie uchylając drzwi.

– Witaj, dobry panie – rzekła uprzejmie Małgorzata. – Z daleka idę, czy pozwolicie mi przenocować? W kącie na sianie chociaż?

– Jeszcze czego! A poszła won stąd, żebraczko jedna, bo psy spuszczę!

– Won! – chłopa wsparła równie tęga żona, wyglądając mu zza pleców. – Bo psy spuści! – potwierdziła słowa męża.

Na takie dictum Małgorzata skłoniła się z godnością i bez słowa opuściła niegościnne podwórze. Miała nadzieję, że w drugiej czy trzeciej chacie dostanie nocleg, a może i miskę ciepłej polewki… Niestety, żadne z domostw nie pozwoliło jej schronić się pod dachem, żadne nie poczęstowało choć kawałkiem chleba. Ba, nie tylko spuszczono na nią psy, ale i ciśnięto za nią kilka kamieni. Obolała, głodna, w mokrym, rozdartym psimi zębiskami płaszczu zostawiła za sobą to straszne miejsce. „Czasem z ludźmi trudniej bywa niż ze smokami", westchnęła markotnie i poszła dalej.

Zapadał zmierzch, lało już jak z cebra, a Małgorzata była u kresu sił, gdy w strugach deszczu ujrzała nikłe światełka w oknach większej jakiejś wsi. W obawie, że spotka ją równie niegościnne przyjęcie, nie pukała już do chat. Przysiadła pod kapliczką na skraju osady. Pomyślała, że rano może spróbuje szczęścia, a teraz zamknie choć na chwilę oczy…

– Hej, obudź się! Nie śpijże tu! – Małgorzata ocknęła się nagle i zobaczyła nad sobą rumianą twarz niewiasty w sile wieku. Trzymała ona we wzniesionej ręce latarenkę ze świecą w środku i patrzyła na ubłoconą, skuloną świętą wyraźnie zatroskana. – Wstawaj! Pójdziem do chaty, ogrzejesz się, wysuszysz. Głodna jesteś?

Małgorzacie łzy stanęły w oczach.

– Dziękuję, dobra kobieto…

– Podziękujesz, jak zjesz – zaśmiała się tamta, podała Małgorzacie rękę i pomogła jej wspiąć się na wóz. Szarpnęła lejcami:

– Wiśta, Łysa! Gościa wieziem!

W domu nakarmiono Małgorzatę, dano jej nawet poduszkę wypchaną pachnącym sianem i szyszkami chmielu na dobry sen. Widać serdeczni tu ludzie mieszkali. Kobieta, która znalazła Małgorzatę pod kapliczką, była wdową po sołtysie. Chłopu zmarło się na wiosnę, a ona przejęła jego obowiązki. Gdy Małgorzata próbowała zasnąć, w izbie obok trwała narada – okazało się, że wieś chce budować kościół, ale nie mogą się ludziska zgodzić, które miejsce będzie najlepsze. Święta uśmiechała się, słysząc te zapalczywe argumenty – pod lasem nie, bo rysie i kuny będą do przedsionka lazły, nad strumieniem nie, bo mokro i ściany będą podmakać, najlepiej byłoby na pagórku jakimś, ale skąd tu pagórek wziąć, gdy okolica płaska jak podpłomyk… Już wiedziała Małgorzata, jak się dobrym ludziom za gościnę odwdzięczy.

Wielki, jasny księżyc stał jeszcze na niebie, gdy święta nasza wymknęła się z chaty po cichu. Wyszła na pola, osrebrzone księżycowym blaskiem i zaczęła zbierać kamienie. Możesz tego nie wiedzieć – zwłaszcza, gdy mieszkasz w dużym mieście i pracy w polu nie znasz – ale Ziemia naprawdę rodzi kamienie. Choć jest bardzo, bardzo stara i nie zmienia już swojego wyglądu, ciągle wydobywa z najgłębszych swoich głębokości nowe kamienie i przesuwa je ku powierzchni. Inaczej skąd by się brały, bez ustanku nowe utrapienie rolnikom przynosząc? Otóż właśnie święta Małgorzata zbierała kamienie nie tylko po to, by orkę ułatwić, ale też po to, by wznieść z nich górę, na której stanąć by mógł kościół. Gdy wstał dzień, kamieni było już całkiem sporo, nie tyle jednak, by kłaść choćby fundament. Ale zbierała je święta; a święci umieją sprawiać cuda. Tak też się stało – bo jak inaczej nazwać tę historię, jeśli nie cudem? Mieszkańcy wsi dokończyli dzieła świętej, trudem i wysiłkiem ogromnym usypując z kamieni górę. Nazwali to wzniesienie Górą Świętej Małgorzaty, a z czasem tę nazwę przyjęła także ich osada. W kościele, który zbudowano na wzgórzu, można do dziś oglądać na sklepieniu zakrystii polichromie – ścienne malowidła przedstawiające tę niezwykłą legendę o świętej, co górę z kamieni usypała. ♦

9

GRABÓW

O ZAMKU BEZ SIEKIERY **BUDOWANYM**

Gdy miniesz wieś Besiekiery, jadąc od Grabowa, zobaczysz ruiny zamku. Zmruż teraz oczy i wytęż wyobraźnię, a ujrzysz, jak wyglądał ów zamek, gdy zbudowano go pół tysiąca lat temu. Warownię na niewielkiej górce, usypanej wśród łęczyckich równin, otoczono fosą, ceglane mury pięły się ku niebu. Piękny to był zamek i na łódzkiej ziemi najznaczniejszy spośród twierdz obronnych. O, doprawdy, godzien był swojego pana, a pan – takiej warowni.

Bo pan Mikołaj Sokołowski, z Wrzącej rodem, był to rycerz zacny. Tylko fortuna czegoś mu nie sprzyjała – nie miał szczęścia ani do żeniaczki, ani do bitew słynnych, ani do bogactw. Biedny był jak mysz kościelna i tyle. Zanim zamek w Besiekierach wybudował, nie miał swojego miejsca na ziemi; gniady koń, siodło z kobiercem, srebrne ostrogi i miecz cały majątek jego stanowiły. Może i niemało dla rycerza, ale dla pana szlachcica – tyle, co nic.

Gdy na zamek do Łęczycy zaproszony przyjeżdżał, bywało nieraz, że jeden i drugi szlachcic plecami od niego odwracał się, traktując jak niegodnego kompanii. Nie bardzo się tym przejmował pan Mikołaj, miał bowiem przyjaciół wiernych, ale wszystko do czasu. Jak to mówią – dopóty beczka z prochem spokojnie stoi, dopóki iskra na nią nie padnie… Gdy zaś o iskrach

Wojciech Depczyński

mowa, to rzadko takie widzieć można, jakie ciskała z oczu kasztelanka łęczycka, gdy spoglądała spod rzęs na pana Mikołaja. Ale cóż – wiadomo, że ręka kasztelańskiej córy nie dla biednego rycerza. O pannie Elżbiecie mógł Mikołaj tylko marzyć.

Dnia pewnego, gdy po uczcie na zamku łęczyckim goście zmęczeni już na siedząco zasypiali, nie zważając na psy, co resztki pieczystego ze stołów ściągały bez ceremonii, do pana Mikołaja przysiadł się nieznany mu wcześniej szlachcic. Lico miał smagłe, czarną bródkę w szpic, w uchu lewym brylant, co błyski dziwne w świetle świec rzucał. Ani chybi – cudzoziemiec. A jednak po polsku się odezwał:

– I co, panie Mikołaju, jakież zamiary wasze?

– Zamiary? – zamrugał niepewnie pan Sokołowski. – Względem czego?

Brylant w uchu nieznajomego zakołysał się delikatnie.

– Raczej względem kogo – uśmiechnął się smagły szlachcic. – Chodzi o pannę kasztelankę.

– Zaraz, panie – Mikołaj jakby się ocknął. – Czy my się znamy? Skąd waść…

– Ja wszystkich znam – uciął nieznajomy. – A co do panny, idę o zakład, że nic z tego nie będzie.

O, takich rzeczy w twarz rycerzom nie mówi się nigdzie na świecie, a co dopiero na łęczyckiej ziemi! Porwał się z miejsca Mikołaj, do żywego dotknięty, już chciał rękawicę ciskać obcemu pod nogi, na pojedynek szelmę wyzwać…

– Siadajże waść – osadził go krótko cudzoziemiec. – Chcesz panny rękę dostać? Powiem ci, co robić.

Zamiast wytrzaskać obcego po gębie, Mikołaj usiadł więc grzecznie na ławie i słuchał, co prawi nieznajomy. Zapytasz, co takiego stać się mogło? W osobie cudzoziemca zjawił się na uczcie sam diabeł Boruta, co na dusze sprawiedliwe wiecznie poluje. Te bowiem wiele więcej warte są w piekle niż dusze łotrów. Wiedział czart dobrze, jaką kartą zagrać, żeby zgubić Mikołaja na wieki wieków.

Co jeden drugiemu obiecał, jaki to był zakład – chyba już się domyślasz. Boruta dał skrzynię pełną dukatów złotych – dość, by za to zamek warowny postawić i żyć długo a dostatnio, dość, by rękę panny Elżbiety dostać. Mikołaj zaś, miłością odurzony, postawił swoją duszę, pewien, że diabła przechytrzy. Dał mu bowiem jeden warunek: duszę zachowa, jeśli zamek uda się

wznieść bez siekiery. „Ha, głupi diable”, myślał sobie, „nabrałem cię, będę miał i zamek, i dukaty, i pannę, i duszę”.

O, jakże się srodze mylił biedny rycerz. Boruta diabeł to przebiegły. Przedzierzgnąć się umie już to w czarnego kruka, już to w rogatą rybę o złotych oczach, by kmieci i dziewuszki płoche straszyć dla zabawy. Ale dla ważnych interesów postać przybiera dostojną: pierścienie złote na palce zakłada, w ucho wpina zawieszkę z wielkim brylantem, długi czarny płaszcz odziewa – to po to, by ogon zakryć – i rusza na łowy, dusze serdeczne mamić bogactwem, którego w łęczyckich lochach ma ilości nieprzebrane.

Miał pan Mikołaj swój plan zamek stawiać bez siekiery, miał plan i Boruta, który wszystko przewidział. Rzeczy na pozór szły gładko. Na budowę zamku piękne miejsce wybrano, cegłę zwieziono, pan Mikołaj oświadczył się kasztelance Elżbiecie i życzliwie został przyjęty. Datę ślubu wyznaczono, gości na weselisko sproszono, suknię z najdelikatniejszych muślinów pannie już szyto.

Ceglane mury zamku besiekierskiego stały już wysoko, gdy pewnego dnia zjawił się tam Boruta. Ku wieczorowi się miało, murarze kończyli pracę. Mikołaj zdumiał się nieco na widok diabła. „Do licha”, pomyślał, „a ten tu czego…”

– Witaj, panie Mikołaju – przywitał się uprzejmie Boruta. – Ufam, że nie zapomniałeś o naszym zakładzie.

– Nic z tego – zawołał wesoło Mikołaj. – Ani jednej siekiery tu nie widziano, poświadczy, kto zechcesz!

– Czyżby? – parsknął Boruta. – Podejdź no tu – zawołał do tęgiego chłopa, który mijał ich właśnie, otrzepując ręce z pyłu. – Jakże cię zowią?

– Siekiera, panie. Jaśko Siekiera z Łęczycy, mistrz murarski…

Nie skończył jeszcze mówić Jaśko Siekiera, gdy naraz ziemia zadygotała, woda w fosie zawrzała i buchnął żółty dym o zapachu siarki.

A gdy się rozwiał, w Besiekierach nie było już ani pana Mikołaja, ani diabła Boruty, jedynie zamek ceglany, fosą otoczony. ♦

KODRĄB

JAK MAJSTER GAŁĄZKA **DWÓR NA WODZIE STAWIAŁ**

– A ja ci mówię, że się nie da! – wołał majster Kita.

– A ja ci mówię, że się da! Założymy się? – majster Gałązka przygryzł bujnego wąsa, żeby ukryć uśmiech, bo znał odpowiedź. I padła ona natychmiast:

– A pewnie! Stawiam moją maszynę mosiężną do mierzenia mil drogowych, że nie dasz rady!

– Niech będzie – odrzekł Gałązka.

Siedzieli przy wieczerzy w karczmie w Kodrębie – dwaj mistrzowie architekci i geometrzy: Gałązka i Kita. Przyjechali tu, jeden z Piotrkowa, a drugi z Sieradza, na zaproszenie pani Załustowskiej, której mąż dopiero co kupił dobra okoliczne, a ona zamarzyła sobie pałac właśnie tu i nigdzie indziej. Szkopuł był tylko jeden: chciała mieć dom akurat w najbardziej podmokłym miejscu w całej okolicy, po prostu – na wodzie! Pan Załustowski widać bardzo był w żonie zakochany, bo powiedział majstrom od razu, że tak ma być, żeby pani się podobało, a pieniądz nie gra roli.

Kusiło. I wyzwanie, i dobry zarobek. Ale odpowiedzialny majster architekt nie podejmuje się zadań niemożliwych, pomyślał więc Kita, że może Gałązka oszalał albo inne jakie licho w niego wstąpiło. Zapytał więc jeszcze raz:

– Po dobroci, przyjacielu, zanim przybijem zakład. Mówisz, że postawisz pani hrabinie pałac na wodzie?

– A postawię – roześmiał się Gałązka – postawię, zobaczysz.

No cóż, na szalonego rady nie ma. Wzruszył ramionami Kita, pewien, że maszyna jego mosiężna, cacko, które z Francji aż sobie sprowadził, przedmiot zazdrości wszystkich majstrów murarskich, geometrów i architektów z okolicy, jest zupełnie bezpieczna.

– A ty co stawiasz, gdy ci się nie uda? Bo nie uda ci się, wiesz o tym – spojrzał czujnie na Gałązkę.

– Reiscyg mój cały z liniami kościanymi i cyrklami.

– Ten w futerale z czarnej skóry? – Kita aż się zachłysnął, gdy pomyślał, że cały zestaw kreślarski Gałązki może być jego.

– Ten sam – potwierdził Gałązka.

– Stoi zatem! – zawołał Kita i przybili zakład, w obecności kilkunastu chłopa, w karczmie w Kodrębie, pewnego sierpniowego wieczoru roku pańskiego 1822.

Następnego dnia rozjechali się, każdy w swoją stronę. Majster Kita pojechał gdzieś za Gostynin, spotkać się z innym panem, który rozbudowy dworu potrzebował – tak to w tamtych czasach bowiem podróżowali za pracą architekci i geometrzy. Majster Gałązka zaś wrócił do Piotrkowa, pewien swego. Zupełnie niedawno bowiem przeczytał w jednej z nowszych ksiąg o budowaniu bardzo ciekawe fragmenty o osuszaniu ziemi. Zamierzał więc przyjrzeć się tym zapiskom, porobić niezbędne obliczenia i wkrótce panu Załustowskiemu przedstawić kosztorys prac. I uśmiechał się całą drogę do domu, bo wiedział, że maszyna do mierzenia mil drogowych zmieni właściciela już całkiem niedługo, a cyrkle w oprawach z ciemnego drewna i piękne, kościane linijki w futerale z czarnej skóry rekina – wcale nie.

Dziś posiadłość w Zakrzewie okala biały mur z sześciokątną kapliczką w jednym z rogów, a wśród kilkusetletnich drzew stoi niewielki dwór – razem z parkiem wpisany do rejestru zabytków jako dziedzictwo kultury i historii polskiej. Widział ów dworek wiele, mieszkały w nim najpierw zacne szlacheckie rodziny, w czas wojny – okupanci, po wojnie – spółdzielcy, następnie szkoła, aż wreszcie trafił znów teraz w prywatne ręce. Gdyby te ściany mogły mówić, opowiedziałyby historię żywą, jakiej w żadnych książkach nie znajdziesz. Bo w jakim podręczniku wyczytasz o majstrach mularzach – tak kiedyś nazywano murarzy – o cieślach, kamieniarzach, ceglarzach, o czeladnikach i uczniach? Nie wyczytasz nigdzie, jak pani Załustowska nachyla się nad rajzbretem majstra Gałązki i pokazuje różowym paluszkiem, żeby – o, tu – jeszcze takie dwa okienka z trójdzielnymi szybkami wstawił jej na poddaszu, i jak majster Gałązka podkręca wąsa i mówi, że zrobi się, pani hrabino, będzie pani zadowolona. Ach, nie wiadomo, może jeszcze wtedy majstrowie tak nie mówili, może nas trochę poniosło.

Wróćmy zatem do roku 1822 i do Zakrzewa, który jeszcze nie wie, że tak się będzie nazywał. Jak to? A tak to. Gdy mistrz Gałązka wyliczył wszystko na papierze, obmierzył teren, zrobił wstępny szkic wydatków, spotkał się z panem Załustowskim i rzecz mu przedstawił. Nie mógł się pan nadziwić, jakim to sposobem osuszenie ziemi pod budowę nastąpi, ale Gałązka mu to prosto wyrysował i objaśnił. Tak i tak, panie hrabio, powiedział, po osuszeniu ziemi zakrzewimy grunty. Wtedy to pan Załustowski rzekł:

– A może by ziemię tę Zakrzewem nazwać? Jeśli uda się wam, panie majstrze, ta sztuka, hę?

– Uda się. Za moje obliczenia ręczę – odparł Gałązka.

Może i myślał hrabia, że będzie taniej, ale skoro słowo się rzekło, dla ukochanej żony z groszem się nie liczył i sowitą zaliczkę Gałązce wypłacił.

I ruszyła budowa w Zakrzewie, który pomału wszyscy w okolicy tak nazywać zaczęli. Świetnym organizatorem był Gałązka, czeladników miał pięciu do tej pracy i kilku uczniów, a do pośledniejszych robót brał za pańskim pozwoleniem chłopstwo miejscowe. Ci nawet zaczęli sobie cenić pracę z majstrem Gałązką, bo sprawiedliwy był, nie dawał

zadań ponad siły, i co najlepsze – tak umówił się z panem Załustowskim, że każdy zatrudniony przy budowie dworku choć małą zapłatę dostawał. Co wcale w tamtych czasach nie było takie oczywiste. Szybko więc na osuszonej ziemi stanął dworek w Zakrzewie, niewielki, ale śliczny, w sam raz taki, jaki chciała pani Załustowska.

A majster Gałązka, bardzo z siebie zadowolony, napisał do Kity długi list z zaproszeniem do karczmy w Kodrębie, gdzie cała rzecz początek swój miała. I dodał na końcu: „A nie zapomnij aby maszyny swojej przywieźć, coś ją przegrał, przyjacielu!” ♦

11

KSAWERÓW

O RÓŻY Z HERBU KSAWEROWA

Ach ta róża! ach ta róża!
Co się w twoje okno wdziera...

...słuchaj, Helenko – mówił Janek – to pana Asnyka wiersz o róży:

Wciąż z zazdrością myślę o niej,
Choć jej nie śmiem dotknąć ręką,
Bo mnie gniewa, że bezkarnie
Patrzy nocą w twe okienko.

– Już późno, muszę iść – panna Helenka zerwała się z ławeczki wśród pnących róż.

– Zaczekaj – poprosił Janek. – Weź tę różę – zerwał jeden z karminowych pąków, pocałował i dał jej do ręki. Panna zbladła i pobiegła w stronę willi. Nie obejrzała się już na Janka, który przesadził właśnie ogrodzenie jednym susem.

Zbigniew Wołowiec

– Wszystko widziałam, wszyściuteńko! – przywitała Helenkę w sypialni na piętrze jej młodsza siostra.

– Dlaczego nie śpisz, Ewuniu? Nieładnie tak podglądać, wiesz? – rzuciła Helenka, wypychając rozemocjonowaną ośmiolatkę na korytarz. Nie słuchała już protestów ani pogróżek, że „wszystko powiem mamie, zobaczysz", usiadła na łóżku, pocałowała pąk róży i pomyślała, że chyba właśnie się w Janku zakochała.

Nad Ksawerowem świecił księżyc w pełni i widział trzy osoby, które nie mogły zasnąć tej nocy: Helenkę, Janka i... nie, nie Ewunię. Ewunia spała niewinnym snem dziecka, czego nie można powiedzieć o panu Aleksandrze, ojcu obu panien, zamożnym przedsiębiorcy, właścicielu farbiarni i przędzalni. To właśnie w jego fabryczce pracował Janek, i to dlatego pan Aleksander nie mógł teraz zasnąć, silnie wzburzony.

Nie taką przyszłość wyobrażał sobie dla swojej starszej córki. Miałaby poślubić chłopca z fabryki? Biednego jak mysz kościelna? Co jakieś poezje jej po nocy recytuje, wchodząc przez płot do ogrodu? Następnym razem psami go poszczuje, ot co! Tupnął nogą ze złości, na co podniosły łebki dwa zdziwione nagłym hałasem sędziwe jamniki. Spojrzały na pana, na siebie i wróciły do spania.

Aż szkoda słów, by opisywać, co się działo nazajutrz. W dobrodusznego na ogół pana Aleksandra wstąpił demon, i w ksawerowskim domu rozpętało się piekło. Żona płakała, Helenka płakała, Ewunia nie rozumiała, co się dzieje, ale też płakała, a razem z panią i panienkami płakały kucharka, podkuchenna i dwie pokojówki. Stangret, lokaj i ogrodnik nie płakali tylko dlatego, że woleli się upić ze smutku.

Wszyscy znali Janka i bardzo go lubili. Nawet niebo wylewało rzewne łzy nad srogim ojcem i niemożliwą a gorącą miłością, którą nie wiedzieć czemu ludzie zwą mezaliansem. Nie zgodził się ojciec bogatej z domu panny na jej ślub z ubogim chłopakiem z fabryki i już.

Ale wiecie, jak to z miłością jest. Ona zawsze znajdzie drogę, żeby połączyć dwa serca. Chociaż panna Helenka chodziła blada i smutna, to płakała teraz z zupełnie innego

powodu. A dlatego, że Janek wysyłał jej czułe listy, pełne zapewnień, że kiedyś będą razem, tylko trzeba do tego przekonać ojca, a on już wie, jak to zrobić.

I owszem, wiedział. Postawił wszystko na jedną kartę dla swojej ukochanej. Czas to był niespokojny, nad horyzontem zbierały się czarne chmury I wojny światowej, a Janek – choć z biednej rodziny i bez grosza przy duszy, ambitny był i dzielny. Gdy tylko wojna wybuchła, zaciągnął się do Legionów Polskich, by walczyć z bronią w ręku i zasłużyć w ten sposób na szacunek pana Aleksandra i na rękę Helenki.

O wszystkim pisał jej w listach, nic więc dziwnego, że zakochana płakała już nie z rozpaczy, ale w strachu o życie Janka. Pisał z frontu, że tęskni, i że na pewno, kiedy tylko wojna się skończy, będą razem, bo w wojsku szybko awansuje.

Nie pisał Helence o tym, jak naprawdę wygląda życie w okopach, jak trwoni młodość, jak ogląda co dzień śmierć swoich towarzyszy. Nie chciał przerażać swojej ukochanej, a zresztą lepiej było udawać przed samym sobą, że to się nie dzieje. Zasypiając, w snach widział co noc ławeczkę wśród róż i księżyc, który łagodnym blaskiem oświetla ogród. To była naprawdę prawdziwa, wielka miłość.

Ale na wojence wcale nie jest ładnie... Wojna jest okrutna i zazdrosna, zabiera męskie serca na zawsze, na śmierć. Janek, śmiertelnie ranny w jednej z potyczek, zanim zamknął oczy, dał swemu przyjacielowi zasuszony pąk róży z ogrodu Helenki, który nosił stale na piersi, zabarwiony teraz czerwienią jego własnej krwi.

Poprosił, aby dostarczył go jego ukochanej jako znak prawdziwej i wiecznej miłości. Przyjaciel spełnił prośbę, a Helence z rozpaczy pękło serce. Następnego ranka znaleziono ją martwą z pąkiem róży na piersi.

Tę piękną, choć pełną smutku opowieść o miłości wiąże z Ksawerowem właśnie wątek róży. Bo róża, królowa kwiatów, dumna i dostojna – jest od wieków najsłynniejszym symbolem miłości.

Ta niewielka miejscowość tuż pod Łodzią powstała w połowie XIX wieku, jako osada prządników. Wtedy to przemysł tkacki zaczął swój błyskawiczny rozwój i przemianę całego regionu. Powstawały także liczne szkółki ogrodnicze, a róże hodowano najpiękniejsze w całym kraju. Ksawerów się bogacił, rozwijał, wyrastały fortuny i może być, że niejeden zamożny ojciec gniewał się na swoją córkę, jak pan Aleksander na pannę Helenkę.

Dziś gmina zmieniła swój charakter. Sumienni i obowiązkowi mieszkańcy pracują w dużych zakładach przemysłowych o globalnym zasięgu. ♦

ŁĘCZYCA

JAK BORUTA **ŚWIDER GÓRNIKOM PORWAŁ**

Wśród niezliczonych opowieści o diable Borucie jest też dziwna przygoda z górnikami i świdrem. Bo nigdy wcześniej ani później nie miał nasz diabeł takiego przeciwnika, jak chłopaki z łęczyckiej kopalni.

Bywało, że trafił na łebskiego szlachcica, zdarzało się, że i chłopi go przechytrzyli, nie raz, nie dwa wystawiła go do wiatru sprytna białogłowa. Oj, miał się Boruta z łęczyckim narodem... Odkąd to krąży po tej ziemi? Ach, nikt nie pamięta, kiedy się tu pojawił. Mówią ludziska, że przed wiekami, zanim zaczął zwać się Borutą, był takim sobie zwykłym leśnym lichem, leszym, borowym. Kto szedł wtedy do puszczy – lepiej, by miał przy sobie coś na jego udobruchanie. A to jajko pod drzewem się kładło, a to kawałek chleba, cokolwiek – żeby licho obłaskawić. W końcu Boruta w hierarchii sił podziemnych awansował, wylazł z lasu i nie bardzo potem lubił, żeby mu przypominać, jak to wcześniej było. Przeniósł się do lochów łęczyckiego zamku, siedział tam na skrzyniach ze złotem i zważniał

Tomasz Ściolny

strasznie. Choć, prawdę mówiąc, nie tak bardzo, żeby od czasu do czasu ludziom nie pomóc. Częściej jednak wodził na pokuszenie, jak to diabeł. A to do kłótni podszczuł, a to do bójki, a to bogactw naobiecywał za jakieś świństwa, wszystko, żeby tylko dusz do piekła nałapać. Lubił też postraszyć po nocach, ale to już tak dla czystej zabawy. Zły bywał, bo zły – przecież swój.

Ale na tych górników z Łęczycy to się dopiero naciął! Słuchajcie, jak było.

Wiercili nowy szyb, w tej kopalni żelaza, co na przedmieściach ją otworzono w 1952 roku. Pracowała ta kopalnia na trzy szyby przez lat czterdzieści bez mała, aż ją zamknięto na koniec, chodniki zalano, i dziś już tylko hałdy i wieża szybowa po niej została. Żeby nikt jej zburzyć nie śmiał, wpisano ją do rejestru zabytków, na pamiątkę tego niezwykłego czasu.

Co się tam wtedy w Łęczycy działo! Czas jakby przyśpieszył. Ludzi najechało do roboty zewsząd: i ze Śląska Górnego, i z Dolnego, gdzie kopalnie uranu zamykano wtedy, i z częstochowskiej ziemi... Zyskiwało miasto na znaczeniu, prawie jak przed wiekami. Jakby do rakiety wsiadło – tak wszystko poszło do przodu.

Więc i ten czwarty szyb chłopaki w kopalni wierciły, praca im się w rękach paliła. Aż tu dnia pewnego – huk, łomot, jak dym spod ziemi nie buchnie, jak siarką nie zionie z szybu!

Odskoczyły chłopaki, co tu dużo gadać – przerażone. Niby z niejednego pieca chleb się jadło, niejedno zawalisko człowiek pod ziemią oglądał, ale takich sztuk to nawet sam Liczyrzepa w kopalni uranu w Kowarach nie wyczyniał. Wyciągają z ziemi wiertło, patrzą – co to, świdra nie ma?

A trzeba wam wiedzieć, że był to świder nad świdry, twardy jak diament, amerykański, za ciężkie dolary kupiony. Stać było Łęczycę! Tym większa groza wśród górników zapanowała.

W ciszy nagle rozbrzmiał niski głos starego Obarzanka:

– Przepuśćcie mnie bliżej!

Chłopaki rozstąpiły się, jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Miał Gabriel Obarzanek mores w brygadzie. Najstarszy był z nich wszystkich, najwięcej też o rzemiośle wiedział. I jeszcze ta blizna straszna na policzku, jakby zadrapanie wielkim pazurem. Dobry

był człowiek, ale trochę się go wszyscy bali. Podszedł, zajrzał do szybu. Splunął i odszedł bez słowa.

Górnicy spojrzeli po sobie. Nie wytrzymał Stasiek, młodziak, co zaczynał dopiero w górniczym fachu:

– Panie Obarzanek, i co?

Stary nawet się nie odwrócił, mruknął tylko przez ramię:

– Boruta.

Nie wszyscy zrozumieli, co powiedział, zaczęli się wzajemnie dopytywać, chwilę trwało, zanim miejscowi objaśnili tych przyjezdnych, co miał na myśli. Wtedy zawrzało. Jedni krzyczeli, że to głupie przesądy, drudzy, że ze złym lepiej nie zadzierać, jedni, że trzeba na milicję, drudzy, że tych pierwszych to chyba Pan Bóg opuścił, skoro myślą, że milicja coś na Borutę poradzi. Już prawie do bitki się brali jedni z drugimi, gdy naraz Stasiek wskoczył na pakę furgonetki i wrzasnął:

– Cichajcie, chłopaki! Spuśćcie mnie na dół, ja świder diabłu odbiorę!

Na moment zapadła cisza, ale po chwili znów zaczęli się kłócić i szarpać, Stasiek z wypiekami na twarzy coś im tłumaczył, ale nikt go nie słuchał... Nie wiadomo, jak to by się wszystko skończyło, gdyby nie Obarzanek. Stał z boku, patrzył na cały ten rozgardiasz i palił spokojnie strasznie śmierdzącego skręta z machorki. Skończył, przydeptał niedopałek, wszedł jeszcze raz w środek brygady i – nie za głośno, nie za cicho, ale jakoś tak, że wszyscy zaraz umilkli – powiedział:

– Chce, niech idzie. Dobrze go ino przywiążcie.

Coś takiego się wtedy stało, że nikt już nie dyskutował i wszyscy zajęli się tym, co mieli zrobić. Mocno przypięli Staśka pasami, zabezpieczyli cały sprzęt, sprawdzili trzy razy, kilku się przeżegnało, kilku zapaliło, no i Stasiek skoczył do szybu.

Mówił potem jeden górnik, że ogień żywy, już nie dym siarczany, z dołu poleciał, i że takiego ryku, jaki spod ziemi się dobył, to w największą burzę z piorunami nie słyszał. Ciemno się zrobiło naokoło, strach wszystkich obleciał, tylko dwie jakby lampy na złoto

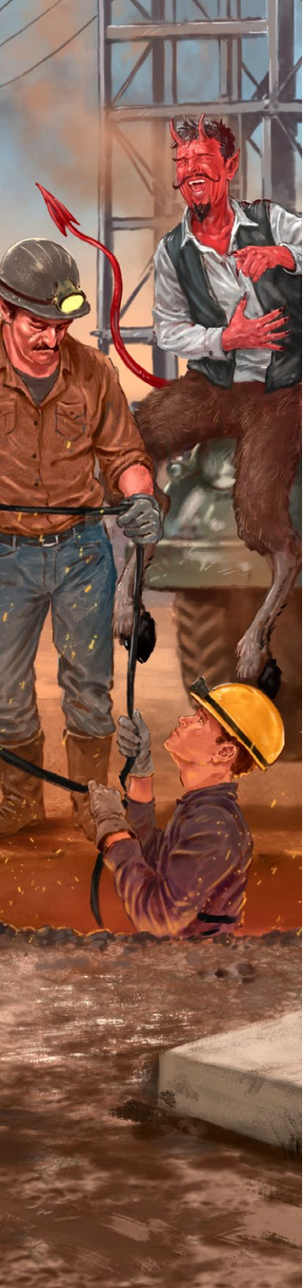

świeciły cały czas obok szybu, i zdaje mu się, że to były oczy Obarzanka, ale nie wie, czy to możliwe.

Wreszcie wyciągnęli Staśka z dołu. Miał świder! Blady był jak prześcieradło, usta sine, krew mu z nosa poszła, na nogach ustać nie mógł, ale świder trzymał! Zaraz chłopaki karetkę wezwały i pojechał Stasiek do szpitala.

Bez milicji się nie obeszło, tajniacy nachodzili potem chłopaków jeszcze po domach, ale brygada twarda była i nikt o Borucie pary z gęby nie puścił. Co tam! Ważne, że świder amerykański nie przepadł, a jak i od kogo odzyskany – czy to ważne?

Stasiek dostał medal za odwagę, a stary Obarzanek zniknął i nikt nie wie, co się z nim stało. ♦

13

ŁÓDŹ

O TYM, SKĄD SIĘ WZIĘŁA **NAZWA ŁÓDŹ**

– Nie pójdę, tatku. Nie pójdę wojować, życie mi miłe.

– Będziesz musiał uciekać do lasu, Jasiu. Nie ma innej rady.

– A jak przyjdą? Zagrodę podpalą?

– Nie podpalą przecie! Powiemy, żeś uciekł ku Gostyninowi. Tam cię będą szukać, a ty na południe pójdziesz. Weź łódkę. Matka ci w tobołek sera da i chleba. Wrócisz za czas jakiś, zapomną w końcu o tobie – nie wierzył Bartłomiej w to, co mówił, i bał się, że syn to widzi. Może i Janusz – Jasiu kochany, syn najstarszy zacnego bartnika – wierzył, może nie wierzył, ojcu w każdym razie nie pokazał strachu. A szło o jego życie. A ściślej – o pieniądze, o zazdrość, o chciwość i pychę, jak to często bywa. Kupcom z okolicy nie spodobało się, że bartnikowi grosza przybywa. Na samym miodzie majątku nie zbił, nawet wyborny trójniak pędząc. To syn jego, cieśla-samouk, ze smykałką do stawiania chat, coraz więcej grosza przynosił. I zmówili się kupcy z Łęczycy, że wyślą go na wojenkę. Bo zawsze jakaś wojenka gdzieś jest, a to jedno pewne, że nie każdy z niej wraca.

Uciekł więc Janusz na południe, jak mu ojciec mówili.

Dziś z Łęczycy do Łodzi w pół godziny pociągiem zajedziesz, a i na las po drodze mało się napatrzysz. Ot, nawet się człowiek zamyślić nie zdąży – a tu czas wysiadać. Inaczej jednak łódzka ziemia wyglądała w czasach Janusza, sześć wieków temu. W puszczy osad było niewiele, a teren podmokły, błotnisty – do dziś przecież przez samą Łódź ile wody płynie, na ziemi i pod ziemią! Łódka, Jasień, Ner, Miazga, Bałutka, Wrząca... długo by wyliczać, a wszystkich nie wymienisz – z Bzurą na czele.

Miał więc Janusz do pokonania mokradła i strumyki niezliczone – ani to płynąć łodzią, ani to przejść suchą nogą. Gdzie przepłynąć nie mógł, wlókł łódkę, zapadając się w błocie. „Cud prawdziwy, że mnie bagno jeszcze nie wessało", myślał, zmęczony jak po całodziennej orce. Po prawdzie, to już zaczynał żałować tej wycieczki, ale stawka była za duża. „O życie moje idzie, dam radę", przekonywał sam siebie, mamrocząc przez zaciśnięte zęby, kłócąc się z głosikiem, który niby licho jakieś chichotał mu w głowie: „A co będzie, jak się tu utopisz razem z tą łódką? Już po tobie, nieboraku"... Brnął jednak dalej, żeby rozpaczy się nie dać.

Nagle usłyszał za plecami śmiech. Obejrzał się, zaskoczony – na kępie turzycy stała dziewczyna o długich, ciemnych warkoczach i uśmiechała się do niego. Przeskoczyła bliżej.

– Jakeś ty tę łódkę tu zawlókł?

Janusz nie był pewien, czy mu się nie zwiduje. Skąd tu, pośrodku mokradeł, dziewczyna? A może to południca jaka, rusałka? Omami, do bagna wciągnie... „Oj, Jasiu, przyjdzie się z życiem żegnać", zaszeptało licho w głowie. „Oprzytomnijże, chłopie", przemówił znów rozsądek, „toć mówili ksiądz biskup w Łęczycy, że rusałek żadnych ni ma, baby ino zwyczajnie chłopów na pokuszenie wodzą!". „Może baby, a może nie baby", kłóciło się licho, „a kto to wie, czy w każdej babie dziwożona nie siedzi..."

„A niedoczekanie!", otrząsnął się chłopak i przetarł twarz rękami, co wywołało kolejny wybuch śmiechu tajemniczej panny.

– Cze... czego się śmiejesz?

– Bo błoto masz na gębie! Jak ci na imię?

– Ja… Janusz. Jasiu. A tobie?

– Jestem Sara – uśmiechała się coraz szerzej, a Januszowi jakoś tak dziwnie ciepło się zaczęło robić koło serca. – Daj rękę, pokażę ci, jak tędy przejść. Łódkę ciągnij, przyda nam się potem.

– Ale kto ty jesteś? Skąd się tu wzięłaś?

– Patrz pod nogi. I nie odrywaj tych pijawek, same odpadną.

Janusz aż się wzdrygnął. Kiedy one się przyssały? Nic nie poczuł! Sara coś mu tłumaczyła, ale oszołomiony, nie bardzo słuchał. I sam już nie wiedział, czy właśnie zakochał się na śmierć i życie, czy jednak trochę się boi tej rusałki-nierusałki, wiedźmy-niewiedźmy… „Nie, na wiedźmę jednak za młoda", zdecydował i poszedł za Sarą, skacząc w jej ślady po kępach turzycy, po małych wysepkach twardszego gruntu, chwytając się olszyn. Co miał biedak robić. Jak już ginąć, to lepiej od pocałunków rusałki, trudno.

W końcu bagno się skończyło, mogli wsiąść do łódki i płynąć dalej z nurtem niewielkiej rzeczki. Miło im było, słońce, ku zachodowi się chylące, słało promienie ostatnie, miedzianymi błyskami muskając warkocze Sary. Janusz nie mógł wzroku od niej oderwać, nie widział więc, że od wschodu niebo aż czarne jest od burzy nadciągającej. Nie obejrzeli się też, gdy deszcz straszny z nieba lunął. Ale zakochanym to i nawałnica niestraszna. Ze śmiechem, w oczy sobie wpatrzeni, wyciągnęli szybko łódkę z rzeczki, odwrócili ją dnem do góry i tak schowali się przed ulewą.

Rano, gdy ocknął się Janusz, Sary obok niego nie było. Wyskoczył spod łódki i aż krzyknął głośno z zachwytu. Wschodzące słońce złociło polanę pełną poziomek, a na brzegu rzeczki siedziała Sara, zaplatając mokre włosy, zaróżowiona po porannej kąpieli.

– Czego krzyczysz, ptaki wystraszyłeś! – upomniała go dziewczyna. Rzeczywiście, na krzyk Janusza z szuwarów przybrzeżnych zerwało się ptasie stadko i odfrunęło, spłoszone.

Nie chcieli dalej ruszać, piękny był dzień, jasny, a nad rzeczką miło. Zostali do wieczora. Następnego ranka też… i następnego, i następnego… Aż w końcu Sara powiedziała, że dosyć już mieszkania pod łódką, i że chatę pora budować, nim zima nadejdzie. A wiecie, jak to jest – jak dziewczyna coś powie, to nie ma wyjścia, tak być musi. Nieważne, panna to, rusałka, dziwożona czy wiedźma. I tak już zostali, a obok nich wkrótce stanęły nowe chaty, i nie minęło czasu wiele, a zaludniła się osada dziećmi.

Janusz i Sara Łodzią ją nazwali, a nazwę tę po raz pierwszy zapisano w kronikach wiek cały po tym, jak oboje już pomarli, a wnuki ich i prawnuki dzielnie w tym miejscu gospodarzyły. ♦

14

MAKÓW

O TYM, **JAK MAK Z DĘBEM ROZMAWIAŁ**

Niedaleko Łodzi, niedaleko Warszawy, a jednak w sercu starej dąbrowy, pośród łęgów i łąk, u źródeł rzeczki Ruczaj, leży Maków, wieś dawna, od wielu wieków ludzi garnąca ku sobie. Powiadają ludzie, że Makowem nazywa się od imienia jednego dobrego człowieka, który osadę tę założył przeszło tysiąc lat temu. Inni zaś mówią, że nieprawda to, że Maków młodszy znacznie, że dopiero w XIV wieku pierwsze zapisy w arcybiskupich księgach o Makowie poczyniono. Przecież – upierają się – puszcza nieprzebyta w dawnych wiekach porastała Mazowsze, mokradła tylko i bezdroża pełne dzikiego zwierza były, kto by tam się pchał wieś zakładać!

A jednak, mówią ci pierwsi, jeszcze przed chrztem Polski przybywali tu Słowianie – dawna puszcza, której ślady do dziś jeszcze tu i tam pozostały, wabiła łowców i zbieraczy swoim bogactwem. Las dawał życie, mięso zwierząt i ptactwa, jagody, grzyby.

Musiało się zdarzyć tak dnia pewnego, że jeden z myśliwych zatrzymał się i rzekł: „Tu osiądę na stałe”.

I musiało to być na długo, długo przed tym, jak skryba arcybiskupa Janisława zaostrzył gęsie pióro, zanurzył je w tuszu z brzozowej kory, i skrzypiąc niemożebnie po pergaminie, zanotował po łacinie pierwsze w historii słowa o *villa Macoviensis*, wsi Maków.

Bo długi, naprawdę długi jest czas, co dzieli gęstą, dziewiczą puszczę od pojawienia się kilku chat i drogi między nimi, wiodącej na pole żyta. To czas wypełniony szczękiem toporów ścinających drzewa, co płaczą żywicą, pełen nawoływań ptactwa, co krąży wokół spadających gniazd, pełen lęku zajęczych serc, co trzepoczą w ucieczce. I splata się tak w sieć nie do rozplątania radość i smutek zarazem, życie ludzi i życie dębów, co lat kilkaset rosną. Czyni sobie człowiek ziemię poddaną, niepomny, że nie było nas – był las, nie będzie nas – będzie las...

Nie byłoby *villa Macoviensis* – ani dzisiejszego Makowa – gdyby nie ten jeden z myśliwych, na którego spłynęła śmiała myśl, by w środku puszczy zrobić miejsce do życia.

Mówią, że Mak mu było na imię, i że dlatego właśnie wieś, którą założył, Makowem później nazwano.

Niech więc skryba arcybiskupi myśli sobie teraz, jak pumeksem zetrzeć kleks, który spłynął mu z pióra na pergamin, a my chodźmy za Makiem w głąb puszczy.

Dobry był to człowiek, jak mówi legenda. Dobry, ale i stanowczy. Jak raz coś postanowił, nie było odwrotu. Wierni jego towarzysze, łowcy doskonali, ich żony i dzieci, poszli za nim jak w dym, tak mu ufali. Wiedzieli, że jak Mak zdecyduje, na dobre się to wszystkim obróci.

Ciężka to była praca – stworzyć osadę w miejscu, gdzie drzewa podniebne rosły, podesłane gęstym poszyciem i runem. Nie do wyobrażenia dziś, jak wtedy ścinano drzewa, bez pił, samymi tylko toporami, które tępić się szybko musiały, bo z niezbyt twardych stopów przecież były poczynione. Bronił się las, jak mógł, ot co.

Wyczerpani już wszyscy byli po tygodniach karczowania, choć kobiety starały się jak mogły, by wykarmić drużynę. Zmęczeni śmiertelnie, rozczarowani, że spełnienie obietnic

Maka tak wiele kosztuje czasu i trudu, zaczęli w wodza swojego wątpić. Ten i ów mamrotał już coś pod nosem, raz i drugi ktoś do karczowania się nie stawił, słowem – zaczynał się kryzys. Ale prawdziwy wstrząs nastąpił, gdy stary, rozłożysty jawor padając przygniótł Lelka. Lelek był to chłopaczyna słaby na umyśle, wiecznie zagapiony – podszedł, gdzie nie wolno było i nieszczęście gotowe. Oj, bystry Lelek nie był... ale kochany przez wszystkich, bo pogodne, jasne to dziecko było. Wszyscy też wierzyli, że dzięki niemu łaski demonów mają zapewnione, kiedy więc zginął, w drużynie zapanowała wściekłość i rozpacz. Obwiniali Maka o śmierć chłopca. Poszedł więc Mak do zielarki Samboi, a ona kazała mu dębu się poradzić. Dąb był dla Słowian drzewem świętym, bramą w zaświaty, przenikającą krainę zmarłych, świat ludzi i bóstw. Spędził więc Mak, napojony tajemniczym wywarem, całą noc u starego dębu, co go Samboja zakazała tknąć toporem.

Odurzony napojem z ziół, widział w półśnie rzeczy, jakie by mu wcześniej w myślach nie postały, ujrzał nagle, jak na dłoni, całą przyszłość swoją i swojej drużyny, i zląkł się wielce, ale i wielce w sercu uradował.

Gdy wrócił rankiem, zebrał swoich ludzi i przemówił do nich. Mówił z zapałem, co widział pod dębem, mówił, że i z Lelkiem rozmawiał, mówił o tym, co się stanie, gdy zasieją pierwsze zboża. Możecie wierzyć albo nie, ale drużyna uspokoiła się na wieści o Lelku, bezpiecznym i szczęśliwym w zaświatach, i na nowo zaufała Makowi.

Dopięli swego. Stworzyli osadę wśród puszczy, zasiali i zebrali plony, zaczęli hodować zwierzęta. Osada rosła, rosło życie. Rodziły się dzieci. A pierwsi osadnicy pomału, lecz nieuchronnie zaczynali się starzeć. Także i Mak – wolał już siedzieć sobie spokojnie na słońcu, rzadko brał łuk do ręki, jeśli już, to żeby wnukom pokazać, jak cięciwę się napina... Ot, starość.

Ciało może i słabe miał już Mak, ale umysł ciągle tęgi. Do niego to cała wieś przychodziła, gdy kłopot jaki się pojawił – chyba, że ze zdrowiem, wtedy do zielarki Samboi każdy biegł. Dlatego też, gdy do wsi przybyli ojcowie benedyktyni z opactwa Panny Marii z Łęczycy, do Maka zaraz ich zaprowadzono. Mówili o nowej wierze, że dobrze, by osada chrzest przyjęła. A Mak przypomniał sobie wtedy noc pod dębem, i chociaż ojcaszkom o tym ani

słowem nie wspomniał, wiedział, że nadeszła ta chwila, w której spełnia się jego widzenie. Oczekiwał bowiem na przyjście tych nowych kapłanów od dawna i wiedział, że jego osada, jak i cała okolica, przyjmie w końcu nową wiarę, którą wyznawali dotąd tylko w dalekich ziemiach.

Nowa cywilizacja stała u progu. Do pierwszego zapisu na pergaminowych kartach arcybiskupich ksiąg miało minąć jeszcze wiele czasu, ale koło historii już powoli się toczyło.

I toczy się nadal – a Maków trwa, jak trwał od wieków. I choć zmienia się wciąż, i nie jest już taką samą osadą, założoną w sercu puszczy – jak chce legenda – przez dzielnego i mądrego Maka, to przecież wciąż ten sam Maków. ♦

15

MOKRSKO

O ZJAWIE Z CHOTOWA

Nie było to bardzo dawno, ot, siedemdziesiąt lat temu może, jakoś tak wtedy, gdy po wojnie ludkowie oddychać spokojniej zaczęli. Wracało zwykłe życie do Chotowa, wracali ludzie, powysiedlani wcześniej. Zaczęli znów ziemię uprawiać i powoli odbudowywać swoje życia, wojną przetrącone. Kto stracił swoich, ten już ich opłakać zdążył, choć blizny w sercu zostały na zawsze, kto walczył na wojnie i przeżył, już nie budził się w nocy z krzykiem.

Trudno było, bo trudno, chudo, bo chudo, ale jakoś się żyło. I dzieciaczki się rodzić zaczęły, a to zawsze znak, że dobrze się dzieje. Przyszła też na świat, jakoś zaraz po Wielkanocy, malutka Basieńka i uszczęśliwiła swoim pojawieniem się niewielką rodzinę: Franciszka i Adelę, i matkę Adeli, babkę Jambroziakową, co od przedwojny w Chotowie mieszkała, jak i jej z kolei matka i babka.

Chata, w której żyli, do Jambroziakowej należała – babka owdowiała niedawno, Jambroziak stary nie zdążył się z końca wojny ucieszyć. Cóż było robić. Dwie z córką na gospodarstwie zostały, ale że obie pracowite były, dawały sobie radę. Adela na śliczną pannę

wyrosła, więc długo czekać nie trzeba było na zalotników. Nikt sobie wtedy głowy nie zawracał posagami, majątkami – brali się ludzie do żeniaczki szybko, jakby czasu nie mieli. Każdy jeszcze wojnę pamiętał, może to dlatego.

Franciszek groszem nie śmierdział, ale robotny był i od wódki stronił. Niegłupi też był – czytać się nauczył, to i wiedział, co na świecie się dzieje. Do partii nie szedł, choć go namawiali. Jambroziakowa zaś znana była z tego, że pluła na widok tajniaków, co po wsiach się wtedy kręcili. Co, nie może sobie baba splunąć, gdzie chce? Nic jej za to zrobić nie mogli.

W takiej to rodzinie pojawiła się Basieńka. Przy matczynej piersi wszędzie była noszona. Gdy szła Adela pomagać mężowi w polu, kładła dziecko pod drzewem na miedzy, a obok Perłę, suczkę wierną, zostawiała do pilnowania.

Poszli dnia pewnego wszyscy sadzić ziemniaki. Maj był, ale skwar dokuczał, parno było strasznie. Ciężko było robić. Malutka płakała co chwilę, niespokojna, Adela co i raz podchodziła do niej, by dać pierś, ale nie chciało dzieciątko zasnąć. A ziemniaki same się nie posadzą... Nerwowo coś było. Perła też kręciła się, nie umiejąc sobie miejsca znaleźć. Od południa szły chmury ciężkie, na burzę. Śpieszyć się więc zaczęli, by jak najwięcej przed nawałnicą zrobić.

Nagle po niebie przetoczył się grom... Adela wyprostowała się, osłoniła oczy dłonią, by spojrzeć na Basię, gdy wtem! Z jasnego nieba, z ogłuszającym trzaskiem, raził Adelę piorun. Osunęła się na ziemię, nie zdążywszy nawet wydać głosu. Franciszek, przerażony, podbiegł do niej, próbował cucić, ale widział już, że nie da rady.

– Ludzie! – zawołał, co sił w płucach. – Ludzie, ratunku!

Pierwsza przybiegła Bronka, najbliższa przyjaciółka Adeli, co pole obok miała, za nią jej matka z ojcem, potem inni. Wszystkiego próbowali, wodą polewać, po policzkach klepać, głową w dół trzymać, nic nie pomagało, leciała przez ręce, nieprzytomna. Wreszcie stara Goryczkowa, co ostatnia przyleciała, bo sił już miała mało, rzekła zdyszana:

– Dół kopcie, szybko.

Franciszek mało jej nie uderzył:

– Ona żyje! Żyje! Nie będziem jej chować! Ratuj ją, kobieto!

– Nie krzycz. Trza do pasa zakopać, piorun w ziemię odejdzie.

Jak powiedziała, tak zrobili. Nie wiadomo – w panice, z głupoty, ze strachu... nikt nie pomyślał, żeby po felczera posłać. Nieszczęsna Adela konała zakopana do połowy na polu kartofli, nie słysząc płaczu córeczki.

Wielka żałoba była we wsi potem. Pogrzeb piękny wyprawili dziewczynie, ale co z tego, gdy dziecina sierotą została, a Franek tak się w sobie zapadł, że jak pół człowieka wyglądał... Wiedziała Jambroziakowa, że musi się wnuczką zająć. A Basia płakała, płakała i płakała, jakby matkę wołając. Cichła dopiero po północy, zasypiając jak aniołek, uśmiechnięta i wpatrzona gdzieś nad kołyską, póki jej się oczki nie zamknęły. Zastanowiło to w końcu Jambroziakową. Postanowiła sprawdzić, co się dzieje, i nie położyła się jednej nocy wcale, usiadła tylko w kącie i patrzyła, co będzie. Ledwo wybiła północ, drzwi chałupy skrzypnęły, uchyliły się i do środka wpłynęła jasna, ale wyraźna zjawa: Adela we własnej osobie. Pochowana w białej, ślubnej sukni, wyglądałaby jak żywa, jak w dniu wesela, gdyby nie bladość straszna i gdyby nie znak od pioruna, co czerwoną błyskawicą znaczył ją od czoła aż po pierś.

Jambroziakowa przeżegnała się. „Co robić, Jezusie Nazareński, toż to córka moja, ale upiór przecie!", myślała gorączkowo... Tymczasem Adela podeszła do kołyski i zaczął cichutko nucić piosenkę, którą za życia śpiewała Basi:

Srebrny księżyc ma
Śliczne różki dwa
Nie płacz, córuś, nie
Spotkasz go we śnie...

Przez głowę Jambroziakowej przeleciało sto myśli, i wszystkie sposoby, jak się pozbyć strzygi, z tym najgorszym – że uciąć głowę nieboszczce trzeba by było, i tak do trumny między łydki włożyć, żeby sięgnąć nie mogła, nałożyć jej sobie z powrotem i z grobu wyleźć.

„Niedoczekanie", podjęła decyzję w jednej chwili. „Niech Adelcia moja przychodzi do dziecka, ile chce. Oby tylko nikt jej po drodze nie zobaczył".

I stało się, jak chciała babka. Adela co noc przychodziła nucić Basi kołysankę i nikt w całej wsi jej nigdy nie widział. Dopiero, gdy dziewczynka skończyła rok, widmo Adeli przepłynęło przez całą wieś w takiej wichurze lodowatej, w takiej poświacie dziwnej, ni to słonecznej, ni to księżycowej, że wszystkie psy się rozszczekały jak wściekłe i wszyscy ludzie z domów wylegli zobaczyć, co się dzieje.

Tak oto wróciła Adela na cmentarz, by więcej się w Chotowie nie pokazać. ♦

NOWE OSTROWY

O RZECZCE OCHNI **I DZIELNEJ WDOWIE**

„Płynie od wsi Kobyla Łąka pod Lubieniem, przez Kutno, do Orłowa, gdzie wpada do Bzury. Dno błotniste, latem brak wody, w ryby nieobfita” – dość krótki jest wpis o rzece Ochni w „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, wydanym na przełomie XIX i XX wieku. Autorzy dodają jeszcze, że „grunta te z wiosny i po znaczniejszych ulewach obsychają powolnie” i że „drenowanie byłoby melioracyą nadzwyczaj pożądaną w tamtej okolicy”.

Dziś w Nowych Ostrowach nikt się już tym nie trapi… ale tak to właśnie bywało – zanim jeszcze Ochnię nazwano Ochnią. Niewielka ta rzeczka, jak i inne strumienie w sąsiedztwie, wzbierała po wiosennych roztopach, a jej wody rozlewały się po polach. Ziemia, z wierzchu urodzajna, niżej kryła zbitą glinę i nie mogła przyjąć nadmiaru wiosennych wód.

Dawno, dawno temu mieszkała nad tą rzeczką, jeszcze wtedy nienazwaną, biedna wdowa Matyjaszkowa z dwoma synami. Szymon i Bartek ojca nie pamiętali – jak poszedł Matyjaszek walczyć dla mazowieckiego księcia, tak już nie wrócił. A wdowa ni grosza z książęcej sakwy nie ujrzała. Nie na darmo powiadają: komu wojna, komu krowa dojna…

Zbigniew Wołowiec

Chudo więc było w chacie, ale radzili sobie jakoś, z jedną kozą-karmicielką i gromadką gęsi, co to je chłopaki pasały po okolicy.

Szymek od małego dar miał taki, że z byle jakiego patyka umiał cuda wystrugać. Kozikiem, co po ojcu jedyną pamiątką mu był – a to krówkę, a to sokoła, a to mysz polną tak ślicznie wyrzeźbił, że aż miło było patrzeć. Bartkowi, młodszemu, dawał do zabawy te drewienka. Gdy był starszy i kozik już pewniej trzymał, nauczył się z lipowego drewna robić piszczałki w kształcie ptaszków. Te zabierała matka na targ do Imielna – bo Nowych Ostrów wtedy jeszcze nie było – i sprzedawała, razem z gęsimi jajami.

Bartek, młodszy syn jej, żywe srebro i łobuz pyskaty, nauczył się – Matyjaszkowa nawet nie wiedziała skąd i od kogo – koszyki wyplatać, a to z trzcin, a to z wikliny. Więc i koszyki, ile mogła naraz na grzbiecie zabrać, na targ nosiła.

Ludzie na targu chętnie je brali – te zawsze się przydają, brali i piszczałki, pytali też często wdowę, czy będzie za następnym jarmarkiem.

A jak dobry rok był i gąski się dobrze niosły, to nawet i farbki synowi kupowała, żeby mógł zabawki malować. Dobrze na tym wychodzili. Nie żeby zaraz krowę kupić, ale dobrze. Na mąkę i smalec wystarczyło, a resztę jedzenia – jak wszyscy w okolicy – sami sobie uhodować musieli, albo w lesie znaleźć. Wiedziała Matyjaszkowa przecież, które grzyby jeść można, a których nie, i zadbała o to, by synkowie dobrze tę wiedzę zapamiętali. Nie mieli najgorzej.

Bywały jednak takie wiosny, jak ta jedna, pamiętna, mokra i burzowa, gdy niebo gniewało się czegoś na ziemię i tłukło ją bez opamiętania piorunami, smagało gradem i lało deszczem niemal co dzień. Małe strumyki stały się potokami, potoki zamieniły w rzeki, rzeki wystąpiły z brzegów, zwalone drzewa jeszcze spiętrzały wodę, której ziemia pić nie zdążała – nastała wielka powódź.

Matyjaszkowa z synami zwyczajni byli tego, że woda wylewa wiosną na pola. Nic nowego to nie było. Szło przetrwać te dni jakoś, choć bywało, że – jak to na przednówku – głód zaglądał im w oczy. „Ale po prawdzie, ludzie kochani", mówiła sobie wtedy Matyjaszkowa, „z przejedzenia to na pańskim dworze podagry można dostać" i oddawała swoje porcje synkom.

Wiedziała więc kobiecina, że o tej porze roku może być trudno, ale czegoś takiego się nie spodziewała.

Dnia pewnego wiosennego, który wstał cichy po nocy burzowej, wyszła na ganek. I nagle stanęła jak wryta, przerażona.

– Och, nie! Och, nie! – wyrwał się jej rozpaczliwy okrzyk.

– Co się dzieje, matuś? – Szymek i Bartek w jednej chwili stali obok matki, rozczochrani, prosto spod kołdry.

Cała trójka patrzyła na lustro wody, które zaczynało się tuż pod stopami i ciągnęło, jak okiem sięgnąć, aż po horyzont. Dobrze, że chałupa na małym przygórku stała, bo spłynęliby z wodą we śnie jak nic! Krzaki jeżyn, jeszcze bezlistne, co wałem odgradzały chałupkę od dróżki, ledwo były spod wody widoczne. Dróżka zalana, gościńca nie widać... Tak źle jeszcze nie było nigdy.

– Och, nie! – powtórzyła bezsilnym głosem Matyjaszkowa jeszcze raz, i osunęła się ciężko na odwrócony ceberek, co stał na ganku.

Chłopaki spojrzały po sobie.

– Nie frasuj się, matuś. To spłynie – powiedział Szymek, ale takim głosem, jakby sam w to nie wierzył. I miał rację. Wszyscy wiedzieli, że woda będzie stała bardzo długo, pewnie zbyt długo, by wystarczyło im wątłych zapasów z komórki – nie tylko dla siebie, ale i dla kozy, i dla gęsi.

Matyjaszkowa pobladła, bo stanęło jej nagle przed oczami, że jeśli to potrwa, gęsi trzeba będzie...

– Och, nie... – szepnęła słabo.

Wtem! Zza kępy olch, wpół zatopionych w wodzie, wyłoniła się łódka, a na niej – sąsiadka spod lasu, Luba. Nie bardzo lubiana w okolicy i starą wiedźmą zwana, gadała właściwie tylko z Matyjaszkową, i to nie za często. Zjawiała się jednak zawsze, gdy wdowa z synami byli w opałach.

– Bierta kozę, bierta, co tam mata i wsiadajta. Po gęsi potym wrócim. Nie wyzdychajo tak zara – burknęła.

– Och, nie! – zawołała Matyjaszkowa, tym razem ze łzami w oczach. – Dobra z was kobieta, dziękuję!

– „Och-nie" to ty se na tę rzeczkę swoją wołaj – zaśmiała się Luba – nie na mnie! No już, szkoda czasu!

I tak to rzeczka zyskała imię. Od tamtego czasu zwie się Ochnią, bo bardzo się ta historia wszystkim w okolicy spodobała.

A następnego roku Szymek z Bartkiem taką łódkę piękną z pnia jaworu zwalonego wydłubali, że już nigdy cała rodzina nie miała kłopotu z rzeczką Ochnią. ♦

OSJAKÓW

ŻYWE KAMIENIE **Z OSJAKOWA**

Osjaków, niegdyś miasteczko, dziś wieś i siedziba gminy, leży nad Wartą. Pierwsze pisemne wzmianki o tej miejscowości pochodzą z końca XIII wieku, wiadomo, że w wieku XV miał już Osjaków prawa miejskie. Rozwijał się jako osada targowa i miejsce kilku dużych jarmarków w roku, leżał bowiem przy dwóch ważnych drogach – trakcie warszawskim i szlaku z Częstochowy do Kalisza. W dawnych czasach miał też swoją własną małą hutę, w której wytapiano żelazo z wydobywanych w okolicy rud darniowych – miejsca te zwano wówczas kuźnicami. Przeżył też Osjaków chwile straszne, jak ogromny pożar z 1750 roku, który strawił miasto doszczętnie. Po tym ciosie miasteczko nie podźwignęło się i utraciło niebawem prawa miejskie. W okolicy zwano go jednak ciągle miastem – już to z przyzwyczajenia, już to ze względu na wyraźnie miejską zabudowę, z centralnie położonym rynkiem i prostopadle odchodzącymi od niego ulicami, już to dla zajęć ludności, zarówno polskiej, jak i żydowskiej, parającej się nie tyle rolnictwem, co handlem i rzemiosłem... Samorząd Gminy podjął działanie mające na celu przywrócenie miejscowości Osjaków praw miejskich.

Tomasz Ściolny

Dziś Osjaków znany jest uczestnikom spływów kajakowych, konsumentom nadwarciańskiego chrzanu, a także miłośnikom historii. Wiąże się bowiem z jego dziejami pewna niezwykła opowieść z czasów powstania styczniowego.

Nieopodal Osjakowa leżą Radoszewice. Dobra te należały wówczas do dziedzica Ludwika Niemojowskiego. Ów arystokrata, z zamiłowania etnograf i pisarz, był znanym działaczem niepodległościowym, cieszył się wielkim szacunkiem lokalnej społeczności, wspomagał też powstańców i żywnością, i pieniędzmi.

Był koniec marca 1863 roku, gdy oddział pułkownika Teodora Cieszkowskiego, wyczerpany nocnym marszem, dotarł do wsi. Ścigani przez rosyjskie wojska za przejęcie koni i rządowych pieniędzy w Radomsku, powstańcy uciekali przez Wartę, paląc mosty w Lisowicach i Działoszynie. Do kompanii dołączali po drodze kolejni, gdy więc oddział dotarł do dworu Niemojowskich, liczył już bez mała pół setki chłopa. Jako przyjaciel powstańców, Niemojowski rzecz jasna udzielił żołnierzom Cieszkowskiego schronienia we dworze i w zabudowaniach folwarku.

Ledwo rozłożyli się na odpoczynek, do wsi wpadli Rosjanie. Sotnia kozaków i dwie kompanie piechoty pod wodzą majora Pisanki zaskoczyły powstańców; ci, mimo zmęczenia i szoku, stanęli jednak dzielnie do walki i bili się tak zaciekle, że Pisanko musiał wezwać posiłki.

Bitwa trwała ponad cztery godziny. Powstańcy, cały czas prowadząc ostrzał, zaczęli przegrupowywać się, by przeprowadzić kontratak. Pędząc konno przez Osjaków, wpadli w ulicę Wieluńską, prowadzącą od rynku do rzeki, wówczas wybrukowaną kocimi łbami. Tuż za nimi pędzili Kozacy, już wyciągnęli szable, już wznieśli je nad głowami, już niemalże kozackie konie równały się z powstańczymi, gdy wtem…

Osjakowskie kamienie ożyły!

Bruk zafalował, cała ulica podniosła się, wybrzuszyła niczym podczas trzęsienia ziemi, każdy kamień obrócił się wokół własnej osi z przeraźliwym chrzęstem, i oto z kocich łbów pod kopytami kozackich koni, wyrosły ostre, długie kamienne kolce. Przerażenie koni i jeźdźców było straszliwe! W bezładnym odwrocie wierzchowce stawały dęba, zrzucając Kozaków na kolczasty bruk. Powstańcy, pędzący galopem w kierunku Warty, dopiero po chwili zorientowali się, że pościg ustał. Wstrzymali na chwilę konie, spojrzeli po sobie zdumieni, ale nie było czasu dłużej

przyglądać się temu przedziwnemu zdarzeniu – musieli jechać dalej. Później, w Kamyku, gdzie zatrzymali się obozem, mówili między sobą, że to musiał być cud. Nie wszyscy jednak wierzyli w to, co się stało. Rozum podpowiadał, że może to przywidzenie, że może ze zmęczenia, w szale bitewnym, w lęku i wściekłości oczy ujrzały to, co chciały ujrzeć – odsiecz Opatrzności.

Dwa dni po bitwie pułkownik Cieszkowski notował w swoim raporcie: „...stoczyłem bitwę pod Radoszewicami z majorem Pisanko, co dwoma rotami piechoty i sotnią kozaków dowodził. Z pod Kiełczygłowa Moskwę dopiero cofnąłem, prąc ją ku Rząśni na błota. 28 trupów i trzy fury rannych zostawiła na placu. Z naszej strony 8 zabitych i 9 rannych. Strzelcy nasi pod dowództwem kapitana Skalskiego wygraną naszą zdecydowali. Bohaterką dnia tego pani Niemojowska co od zabitego kosyniera sztandar nasz uratowała". Zapis po wojskowemu krótki, bez sentymentów, bez dodatkowych szczegółów. Ani słowa o przejeździe przez miasteczko, ani słowa o bruku...

No cóż, żołnierze to jedno, a drugie – ludzie z Osjakowa. Ci, choć pochowali się na widok pędzących przez miasteczko wojsk, z ukrycia obserwowali przecież pilnie wszystko, co się działo. Czy widzieli, jak żywe kamienie z osjakowskiego bruku zatrzymały kozacki pościg? Czy opowiadali to dzieciom, dzieci wnukom, wnuki swoim zaś wnukom, aż opowieść ta dotrwała do naszych czasów?

Osjakowski bruk nosił – przecież nie tylko w powstaniu styczniowym – wielu żołnierzy, i jezdnych, i pieszych. Wszystkim tym, co krew za wolność przelewali, należy się szacunek i pamięć, choćby zatrzeć ją próbowano, na przykład tak, jak tę po radoszewickiej bitwie. Naczelnik żandarmerii rosyjskiej w Wieluniu groził wtedy proboszczowi z Osjakowa, że jeśli ten urządzi poległym pogrzeb uroczysty, pociągnięty zostanie do odpowiedzialności karnej. Pana Ludwika Niemojowskiego z rodziną za pomoc powstańcom zesłano na Syberię. Na zesłanie trafiło też wielu innych osjakowian.

Może więc było tak, że ta legenda zrodziła się z niezgody na niewolę i przemoc? Gdy krzywd i niesprawiedliwości doznajesz, tak bardzo chcesz, by i niebo, i ziemia stanęły po twojej stronie...

Prawda to czy nieprawda – osądźcie sami. ♦

OZORKÓW

O KRUKU I OWCY CO KSIĘCIA ROZBAWILI

W dzisiejszym herbie Ozorkowa widzimy godło herbu Odrowąż i czółenko tkackie. Niewiele jednak brakowało, by widniała w nim – ni mniej ni więcej – srebrna owca, która wspina się przednimi kopytkami po murze, a na jej głowie siedzi złoty kruk.

Taki rysunek dziś jeszcze można odszukać w archiwach. Znawcy heraldyki, czyli nauki o herbach, powiedzą, że owcze runo to symbol sukiennictwa – Ozorków był w XIX wieku ważnym ośrodkiem tkackim – a kruk to herb rodu Starzyńskich, którzy położyli ogromne zasługi dla ówczesnego rozwoju miasta. Ale historia Ozorkowa nie zaczęła się przecież w XIX wieku! Może owca i kruk wzięli się z zupełnie innej opowieści?

Ozorków to dawna osada nad Bzurą, pamiętająca jeszcze czasy średniowiecza i księstwa łęczyckiego, którym władał wtedy Władysław Garbaty, bratanek Łokietka. To w tamtych czasach, siedem stuleci temu, zapisano pierwszą wzmiankę o małej wsi wśród lasów i bagien. Inaczej wtedy okolica wyglądała. Dukt leśny, na Łęczycę wiodący, wąski był, kręty

Tomasz Ścioły

między mokradłami, pełen korzeni wystających – całkiem nie to, co dziś, gdy szybkie drogi i autostrady łączą Kraków z Gdańskim, przez sam Ozorków przebiegając.

Gdyby taką prostą i wygodną drogą książę łęczycki wracał lata jednego z Krakowa, pewnie koń jego ulubiony podkowy by gdzieś na korzeniu nie zgubił. Pech jednak chciał, że ledwie pół dnia drogi od zamku taka przygoda się księciu wydarzyła. Zatrzymać się więc musiał orszak, na szczęście tuż właśnie nad rzeką polana z kilkoma chatami była, do dóbr państwa Szczawińskich wtedy jeszcze należąca. Część konnych książę puścił przodem, by do zamku wracali, został tylko z trójką najbliższych rycerzy, ciekaw, jak też ludziom się tu żyje.

Rwetes we wsi zapanował straszny, każdy chciał księciu się pokłonić – a ściślej, powiedzmy to sobie szczerze, zobaczyć go z bliska. Osobliwie wszystkich ciekawiło, czy książę nosi garb prawdziwy. Co robić, na ludzką ciekawość rady nie ma i nie było nigdy. Rzucili więc zajęcia swoje wszyscy – czy kto w polu, czy w obejściu robił – i dalej tłoczyć się pod wójtową zagrodą, w ukłonach, ale ukradkiem na księcia popatrując.

Zwyczajny był książę takich spojrzeń od dziecka – po prawdzie, nie bardzo już się tym przejmował, ale przyboczni jego srogo na wieśniaków popatrywali, gotowi na jedno księcia skinienie rozpędzić tłumek. Powietrze jakby zgęstniało od tych spojrzeń, w obie strony słanych. A upał był do tego okrutny. Sierpniowy skwar aż liście zwijał na rozłożystej lipie, pod którą książę Władysław w obejściu wójta zasiadł. Wójtowa lipowe kwiatki fartuchem zmiotła ze stołu i do kuchni pobiegła po chleb, świeżo właśnie z pieca wyjęty, wołając po drodze do syna:

– Bolko, przynieś no dzban mleka zsiadłego z piwnicy, a chyżo! Panowie spragnieni ochłody być muszą!

Wójt tymczasem zasiadł z księciem pod lipą i na pytania różne mu odpowiadał, opisując życie w osadzie. Rzucał jednakże niespokojne spojrzenia: a to na drzwi do chaty, a to na piwniczkę, a to na tłumek, za płotem się kłębiący. „Gdzież to żonisko moje przepadło, jak długo na poczęstunek książę czekać raczy", myślał sobie. „A tego Bolka to po śmierć posłać jeno. Ile czasu można mleko do dzbana lać? I niechże by już ci ludkowie do roboty swojej wracali", denerwował się, przygryzając wąsiska.

Ale oto Bolko niósł już dzban pełen zimnego mleka i gliniane kubki dla gości. A za chłopakiem krok w krok – cóż to za dziwo! – szła kulawa owca z krukiem na głowie. Książę zamrugał oczami, jakby chciał się pozbyć sprzed oczu zjawy majaczącej, i pokręcił głową. Wójt pomyślał, że teraz to już naprawdę niedobrze, porwał się z miejsca, mleko do kubków zaczął rozlewać, dla odwrócenia uwagi zachwalając jego smak i świeżość.

Goście sięgnęli po naczynia. Wtem!

– Ozorrrem, ozorrrem! – zachrypiał kruk, gdy książę podniósł kubek do ust.

Omal Władysław z ławy nie zleciał! Wójt struchlał. Nie dość, że cała wieś zza płotu gapi się na księcia, jeszcze to ptaszysko na dodatek śmiało głos zabrać! Na chwilę cisza zapadła taka, że aż brzęczenie pszczół z Maciejowej pasieki za wsią wszyscy usłyszeli. Ale tylko na chwilę. Co za ulga! Książę wybuchnął tak serdecznym śmiechem, że razem z nim i jego rycerze, i wójt z wójtową, która w końcu z chlebem nadbiegła, i wreszcie wszyscy wieśniacy aż po udach się klepali z radości, a kruk skrzydłami trzepotać zaczął.

– Mówcie, co to za ptak, kto go gadać nauczył?

Okazało się, że to Bolko kruka od pisklęcia chował, wypadłego z gniazda. Ptaka wykarmił, oswoił, i jakoś tak się złożyło, że i ludzkiej mowy wyuczył. Szczególnie z jedną z owiec ptaszysko się zaprzyjaźniło, kulawą, więc na ubicie przeznaczoną, której jednak życie darowano, bo wszystkich radowała, w parze z krukiem po wsi chodząc.

Bolko opowiadał, a książę wypytywał go o wszystkie szczegóły. Dla księcia była to nowość wielka, nigdy wcześniej nie widział gadającego ptaka. Tak mu się te zwierzęta spodobały, że rozkazał je na dwór łęczycki zabrać, razem z Bolkiem, który został książęcym dworzaninem. Osadę zaś, na pamiątkę tego zdarzenia, Ozorkowem zwać zaczęto. Bolko nie zapomniał o swojej rodzinnej wsi i zawsze, kiedy ważna sprawa jakaś była, umiał książęcego ucha i serca nakłonić z korzyścią dla ozorkowian, wieś rosła więc w zasobność i znaczenie.

Czy mogło tak być? Mogło, oczywiście. Czy było? Kto wie... W dziejach miast i miasteczek przypadki mają większe znaczenie, niż nam się może wydawać. A często bywa, że to ludzie sami, ciekawością wiedzeni, niezwykłe przypadki wywołują.

Wiele, wiele lat później, gdy Ozorków przeszedł w ręce pana Starzyńskiego, ten sprowadził tu sukienników z dalekiej Saksonii, rozpoczynając nowoczesny, przemysłowy rozdział w dziejach miasteczka, który na wiek z okładem określił jego tożsamość. Pamiętać trzeba, że to tu właśnie, w Ozorkowie, zaczęła się włókiennicza historia całego regionu. I choć dziś gospodarcze dzieje innymi drogami już się toczą, Ozorków pozostaje ważnym i prężnie rozwijającym się miejscem na mapie Polski. ♦

19

PAJĘCZNO

O TYM, KTO STRASZNEGO **PAJĄKA POKONAŁ**

Dawno, dawno temu, tak dawno, że nikt tego już nie pamięta, w lasach-borach nieprzebranych, co wokół Pajęczna się wtedy rozciągały, mieszkał straszny potwór. Pająk był to wielki jak góra – powiadają – o nogach ośmiu jak osiem sosen strzelistych i o oczach tysiącu, jak tysiąc kamieni czarnych. Pancerz miał gruby, jak z żelaza zrobiony, porośnięty srebrną szczeciną, jakby ostrza kłujące sterczały z niego. Gdzie przeszedł, trawa więdła, gdzie wody się napił, źródło wysychało, gdzie tupnął, ziemia jęczała z bólu. A śmierdział przy tym okrutnie, nie wiadomo, czy jajem stuletnim, czy beczką po skisłych śledziach – tak że wiadomo było od razu, że nadchodzi, bo z daleka już wyczuć się dawał. Na szczęście! Inaczej pożarłby chyba każdego, co do lasu na grzyby czy na jagody przyszedł. A tak, przed złym powietrzem uciekając, niektórzy uratować się mogli.

Powiadali jedni, że to kikimora taką postać przybiera – osobliwie bowiem potwór zjadał tylko mężczyzn, kobiet jakoś nie tykał.

A gdzie tam kikimora, inni na to mówili, kikimora malutka, chuda, czasem tylko jadem pluje, jak wściekła, ale i to nie za daleko. A że wyje po polach, wielkie rzeczy! Wilki też wyją, a ognia żywego się boją. Nie, to nie kikimora, upierali się. To bies wcielony!

Wojciech Depczyński

Czy to kikimora była, czy bies, czy leszy jakiś, co nagle moc w sobie poczuł, by w pająka się zamienić, a może inne jakie licho, z imienia nieznane – dość na tym, że potwór panoszył się po lesie, a ludkowie, co na skraju puszczy mieszkali, lękali się go okropnie.

A dobry to był lud i spokojny. Niczego więcej nie chciał, prócz tego, by po wiośnie lato przychodziło, plonów obfitych pełne, po lecie jesień, co komory zapasami zapełnia, a po jesieni – zima, oby niesroga, czas na to, by i ziemia, i człowiek, i żywina w gospodarstwie mogła nieco odpocząć.

Żyli tak sobie kmiecie pod lasem, i żył wśród nich kowal na schwał, a Siemierz mu było na imię. Robił sierpy mocne i lemiesze do pługów, kuł konie, a i miecz umiał wykuć piękny, dwuręczny. Miał żonę Tomiłę, i dzieci sześcioro. Najstarszy syn już mu w kuźni pomagał, a najmłodsze dzieciątko jeszcze przy matczynej piersi było.

Dlatego też Tomiła niezbyt się uradowała, gdy dnia pewnego w chacie zjawiło się kilkunastu chłopa – najważniejsi gospodarze we wsi – i radzić zaczęli, co tu z potworem robić.

– Spalić ogniem żywym, w noc Kupały! – wołał Bolęta.

– Głupiście, Bolęto – mówił na to Gnierat – Kupały już było latoś, a rok cały czekać nie możem, bo wylezie jeszcze licho z puszczy i zeżre nas wszystkich. Szybciej trzeba!

– Szybciej, szybciej, ale jak? – drapał się w głowę Lelistryj, co najbardziej ze wszystkich nie miał ochoty walczyć z pająkiem, ale poszedł na naradę, bo go żona z chaty wypchnęła.

Radzili do wieczora, nareszcie uradzili, że wezmą miecze, łuki, lemiesze, widły, co tam kto ma, aby w dwie ręce, i ruszą kupą na potwora z krzykiem wielkim, z kilku stron, co by go najpierw wystraszyć i otumanić, potem na ziemię obalić, a potem – no, to już się na miejscu zobaczy.

I poszli, zaraz dnia następnego. Każdy z nich na szyi wieniec miał z nawłoci, bo właśnie wtedy kwitła obficie, a jak wiadomo, ziele to odwagi i chęci do walki przydaje. Nietrudno było potwora wytropić, bo śmierdział chyba jeszcze bardziej niż zwykle, gdy tak leżał sobie na polanie, drzemiąc w południowym słońcu. Rzucili się na niego, jak zaplanowali, ale choć zaskoczyć im się go udało, przewaga nie trwała krótko. Potwór porwał się na nogi i rzucił na kmieciów. Jak zabawki dziecięce, tak ich porozrzucał po polanie w jednej chwili, kilku schwytał do paszczy, ale wypluł, pokaleczywszy tylko mocno – potwory nawłoci nie lubią – i odbiegł w głąb puszczy, łamiąc po drodze drzewa i krzaki.

Wrócili do wsi chłopi, niosąc rannych. Kobiety, jak ich zobaczyły, lament podniosły, że to już koniec i że przyjdzie im wszystkim zginąć marnie. Jedna tylko Tomiła nie płakała, bo gniew w niej wezbrał taki, że rozerwała by pająka gołymi rękami, gdyby stanął teraz przed nią.

„O nie, bestyjo", powiedziała sobie w duchu, „dosyć tego, ty albo ja". Zawinęła się w jednej chwili i poszła do lasu. Nikt się nawet nie zorientował, kiedy zniknęła.

A takimi krokami sadziła, mamrocząc coś przez zaciśnięte zęby, że aż kurz na drodze się za nią podniósł. Pająka w parę chwil znalazła.

Podeszła do niego tak blisko, że potwór osłupiał. Takiej odwagi jeszcze nie widział!

– Ty gadzino przebrzydła, bestyjo śmierdząca, kupo zgnilizny, wynocha mi z tego lasu! Bier się i zawracoj na dno piekła, skund przylazłeś! Ale już! Pókim dobra!

Pająk zamarł w bezruchu, a potem zdarzyło się coś przedziwnego. Pod twardym wzrokiem Tomiły, która stała niewzruszona, podparta pod boki, pająk najpierw przykucnął, potem położył się na ziemi, a potem... gdzieś spod pajęczej skóry, już teraz pustej, wylazło kudłate, trochę brzydkie, a trochę śmieszne leśne licho i spojrzało żałośnie na Tomiłę.

– No – powiedziała Tomiła – tak już lepiej. Ale żebym cię tu wincej nie widziała!

Licho pociągnęło nosem i znikło w jeżynach, śmierdząc nadal, ale już nie tak bardzo, jak wcześniej.

Tomiła wzruszyła ramionami i wróciła do chaty. Odtąd żaden bies ani strzyga, bełt czy południca, czy nawet najmniejszy pokuć nie śmiał się w okolicy pokazać. Skrzaty domowe jedynie zostały, ale i te bały się w dzień wychodzić, a już psocić – o, nie było mowy.

Szczególnie, że skórę po pająku chłopy z lasu zaraz przywlokły i na dębie, co rósł pośrodku, przybiły. Na ten widok każde licho strach czuło.

Gdy zaś wiele lat później wieś chrzest przyjęła i kościół sobie pobudowała, skórę ową, wysuszoną na wiór, jako wotum na drzwiach świątyni powieszono. Osadę zaś na pamiątkę tych wypadków Pajęcznem nazwano, a dzielne niewiasty mieszkają tu do dziś. ♦

20

PĄTNÓW

WĄWÓZ
KRÓLOWEJ BONY

Nieopodal Bieńca w gminie Pątnów, w rejonie Wielkiego Łuku Warty, leży tajemniczy, gęsto zarośnięty bluszczem i pełen ptactwa wąwóz. Niełatwo doń wejść, przyroda broni tu swoich sekretów... Tradycja każe zwać to miejsce Wąwozem Królowej Bony. Jak się zaraz dowiecie, nie bez powodu. Bona – królowa Polski z XVI wieku, żona Zygmunta Starego, z pochodzenia Włoszka, z natury przenikliwie inteligentna, pełna temperamentu, piekielnie wybuchowa, ale i świetnie wykształcona, niezwykle wręcz gospodarna i przedsiębiorcza – była właścicielką ziem w tej okolicy. Posiadłości te wchodziły w skład jej dóbr stołowych, czyli takich, z których dochód płynął prosto do królewskiego skarbca.

Pewnego dnia, niemal dokładnie 500 lat temu – pięć wieków, czy możecie to sobie wyobrazić? – Bona podróżowała z Krakowa do Poznania. Jadący traktem św. Rocha orszak niebawem miał zatrzymać się na noc. Konie, ciągnące karetę królowej, były mocno zmęczone, a i popołudniem parnego dnia wyraźnie zbierało się na burzę.

Wjeżdżali teraz w wąski, leśny parów.

Zbigniew Wołowiec

– *Avanti*! Jedźcie szybciej, *per l'amor di Dio*! – z wnętrza karety dobiegł wyraźnie zirytowany głos królowej i gwałtowne stukanie laseczką w sufit pojazdu. Wszyscy już mieli dosyć tej podróży, ale Bona niecierpliwiła się najbardziej i – w przeciwieństwie do służby – nie hamowała irytacji. Foryś – jadący na pierwszym koniu pachołek, którego zadaniem było wypatrywanie przeszkód na drodze – usłyszał zagniewaną królową i zaniepokojony, obejrzał się na stangreta. Ta chwila nieuwagi wystarczyła. Nie dostrzegł, że zza drzew, rosnących na zboczach parowu, wybiegł wilk. Zwierzę zatrzymało się pośrodku duktu, być może osłupiałe i przerażone niespodziewanym spotkaniem, ale konie przestraszyły się bardziej.

W jednej chwili stają dęba, rżą głośno, próbują zawrócić między wąskimi ścianami parowu! Plączą się lejce, stangret nie umie zapanować nad nimi, oto nagle kareta, szarpana przez zaprzęg, chwieje się mocno na boki i gubi wszystkie kufry podróżne i szkatuły! Suknie i trzewiki sypią się na ziemię, służba patrzy jak oniemiała, królowa krzyczy już na cały głos, nie przebierając w słowach:

– *Ma che diavolo*, do diabła, co tu się dzieje?!

Wszyscy zamierają, zapada nagle całkowita cisza, w której słychać tylko skrzypienie karety, gdy wtem… pęka oś! Złamane na wystającym korzeniu koło nie utrzymało ciężaru powozu. Z głośnym trzaskiem kareta przewraca się, królowa klnie już najgorszymi słowami, od których dwórki robią się purpurowe ze wstydu.

– *Basta così*! – krzyczy Bona, uwięziona w przewróconym powozie. – Dosyć tego, łobuzy leniwe, łajdaki, pomóżcie mi stąd wyjść!

Nie wiadomo, czy jest bardziej śmiesznie, czy strasznie. Służba wyciąga królową, z włosem w nieładzie, w przekrzywionym aksamitnym berecie, ale nikomu nie jest do śmiechu, wszyscy wiedzą, że płazem tej przygody Bona nie puści.

Wtem słychać tętent! Oto jedzie pan Konopnicki, dzierżawca dóbr bienieckich. Miał gościć królową we dworze, ale orszaku ani widu, ani słychu – zaniepokojony wyjechał więc konno na spotkanie. Witają go spojrzenia pełne ulgi, teraz już wszystko pójdzie gładko.

I tak się rzeczywiście stało. Wydano kilka stanowczych rozkazów i poleceń, każdy zajął się tym, czym powinien. Królową posadzono na pniu zwalonego drzewa, okrytym grubym

Zbigniew Wołowiec

kobiercem, podano jej na uspokojenie nalewkę z melisy i głogu, dwórki zajęły się poprawianiem włosów władczyni i uładzeniem sukien. W oczekiwaniu na kowala, po którego posłano do Bieńca, w wąwozie powoli wracał spokój.

Służba zbierała rozsypane bagaże i pakowała je z powrotem do kufrów. Nikt jednak nie dostrzegł maleńkiej, inkrustowanej masą perłową szkatułki, która wypadła najdalej i skryła się w wysokich trawach, porastających ścianę parowu. Pudełeczko pękło, a jego zawartość, prezent, który wiozła Bona do Poznania, rozsypała się na ziemi. Tymczasem powóz naprawiono i orszak ruszył w dalszą drogę, na upragniony już przez wszystkich nocleg w Bieńcu.

Wtedy znad krawędzi parowu znów wyjrzał wilk. Powoli zszedł na dno, powąchał szkatułkę, fuknął, otrząsnął się i odbiegł spokojnym truchtem, niknąc gdzieś w nadwarciańskiej puszczy. W wąwozie zapadła wreszcie ta niezwykła cisza, jaka panuje tam zawsze.

Kilka lat później, będąc znów przejazdem w okolicy, Bona zapragnęła zobaczyć miejsce swojej przygody. Wiedziała już od służby, że miejscowi zaczęli nazywać ów wąwóz jej imieniem, tym bardziej chciała go odwiedzić. Nie złościła się nawet na kowala, który musiał rozpowiedzieć po wsi o tym, jak to kareta oś złamała w parowie i jak to zawołano go wówczas na pomoc. Tym razem wybrała się tam konno, z kilkoma tylko dworzanami do towarzystwa, nieustraszona mimo wcześniejszego wypadku, nielękająca się ani konnej jazdy, ani wilków. Gdy wjechali do parowu, Bona zawołała:

– *Ma ora capisco*! Teraz rozumiem, gdzie się podziały moje nasiona!

Cały wąwóz porośnięty był gęstym bluszczem – jego pędy wiły się po dnie i po zboczach, sięgając drzew. Osłonięte od słońca, cieniste i wilgotne miejsce okazało się najżyźniejszym gruntem dla nasion, które wysypały się ze szkatułki królowej Bony tamtego pamiętnego popołudnia.

Dziś w Wąwozie Królowej Bony nie spotkacie już ani wilka, ani konnego zaprzęgu czy orszaku z karetą. Bije tam za to źródełko z czystą wodą o lekko żelazistym smaku, a wokół oddycha spokojnie gąszcz załęczańskich lasów, prawie tak bujnych, majestatycznych i pięknych, jak pięć wieków temu, za panowania włoskiej królowej. ♦

21

PĄTNÓW

ŹRÓDEŁKO **OBJAWIENIA**

–Gdzieżeś ty przepadła, dziewuszysko niedobre! – Marianna Pęcherzowa stała na progu chałupy i strofowała Franię, zalaną łzami. Ciemno już się robiło, słońce zaszło, a dziewczyna dopiero z lasu wróciła, w dodatku bez koszyka, do którego grzybów miała nazbierać.

– Niedźwiedź jaki cię pożre kiedyś w końcu, i dobrze! – wrzasnęła jeszcze z rozpędu, nie wiadomo czy ze złości, czy z niepokoju o córkę.

– Mamo...

– Co mamo, co mamo? – Pęcherzowa traciła już cierpliwość. Kury nienakarmione, niezagonione do kurnika, krowa niewydojona, buraki kolejny dzień niepoprzerywane, a ta znika na tyle godzin!

– Co mamo?!

– Matkę Bożą w lesie na sośnie widziałyśmy... – wykrztusiła w końcu Frania. Pęcherzowa usiadła na progu, jakby jej kto kolana podciął, zasłoniła usta rękami i pomyślała tylko: „Boże mój, i co teraz będzie?!”.

Zbigniew Wołowiec

Lasy wokół Dzietrznik i Kałuż piękne są, sosnowe, grzybne, pełne jagód, malin i poziomek, zajęcy, wiewiórek i ptactwa wszelkiego. Chodzili tam wszyscy, cała wieś znała ścieżki, wiedziała, gdzie czego szukać i gdzie kto wnyki stawia. Z tym niedźwiedziem to Pęcherzowa przesadziła, ale sami powiedzcie, dobrzy ludzie, ile może jedna kobieta udźwignąć. Tyle, ile dźwiga i ani trochę więcej. Sześcioro dziecek urodziła: dwoje już dorosło, troje łobuzów małych jeszcze, a pośrodku Franka, rok osiemnasty już jej szedł, a zamyślona zawsze, z głową w obłokach, jakby nie po ziemi chodziła. Martwiła się Marianna o nią po matczynemu, tym bardziej, że dziewczyna uparła się przy swoim i nic, tylko o Matce Boskiej w kółko mówiła.

Póki w domu o tym gadała, pół biedy, ale jak już się po wsi zaczęło roznosić... W końcu przyszły sąsiadki do Pęcherzowej.

– Marianno, wiecie to, co wasza Franka po wsi gada?

– A wam kto każe głupiej słuchać? – Marianna bliska była łez z bezsilności. Taki wstyd na całą wieś! Otarła oczy fartuchem:

– Nie wasza to sprawa, idźcie się własnymi dzieckami zajmować!

– Czekajcie – przed delegację sąsiadek wysunęła się Elżbieta Midkowa, matka Marianki, co z Franią się przyjaźniła, dobra kobiecina, co nikomu nigdy rady ani pomocy nie odmówiła. – Marianno, posłuchaj. Moja córka z Franką była wtedy w lesie i to samo mówi. Ja już nie wiem, co robić. Zebrałam kobiety, chodź z nami, pójdziem do lasu za dziewczynkami, zobaczyć, czy to prawda.

Zatrzymała się Pęcherzowa w pół obrotu, pomyślała chwilę i uściskała Elżbietę.

– Niech tak będzie, chodźmy.

Gdy pod sosną stanęły, szum jakiś zrobił się w koronach drzew, na bezchmurnym dotąd niebie zjawił się jakby biały obłoczek, światło z niego niezwykłe spłynęło na las i w ciszy dał się słyszeć słodki głos... Upadły kobiety na kolana i zaczęły różaniec, a wieczorem do wsi wróciły już nie te same. Rozpowiadając wszystkim, co w lesie widziały, spełniły życzenie Maryi, która – jakby na przekór – mówiła, że przychodzi po to, by uwierzyli w nią

ci, co nie wierzą, niedowiarkowie i grzesznicy, dla których świadectwem będą pielgrzymi, ci, co ją widzieli…

I poszła wieść hen, daleko, dalej niż Załęcze, dalej niż Pątnów, aż za Wieluń, Działoszyn i Kluczbork. I zaczęli się ludzie gromadzić w dzietrznickim lesie i modlić do Najświętszej Panienki, i coraz więcej ich przybywało, i pokrzepieni z lasu odchodzili, i wracali znowu.

A to się władzom carskim podobać nie mogło, oj, nie mogło. Polska wtedy była pod zaborami, ta okolica należała do Rosji, toteż wszelkie zgromadzenia, a zwłaszcza modlitwy w języku polskim, źle były bardzo widziane. Carat rozpoczął więc urzędową walkę z „zabobonem". Wysyłano na miejsce coraz to nowych czynowników, pisano coraz to nowe raporty. Miejscowy proboszcz relacjonował tak: „Lud ten jest przekonany, że to widowisko jest prawdziwym objawieniem Niepokalanego Poczęcia. Jeżeli jest to dzieło Boskie, to żadna siła ludzka nie potrafi tego zniweczyć. Jeżeli jest to dzieło natury lub ludzkie, to samo z siebie upadnie", i dodawał, że w niektóre dni pod cudowną sosną zbiera się nawet tysiąc osób. Inny zaś urzędnik w randze radcy kolonialnego, co udał się na miejsce objawień, pisał, że sam uległ zbiorowej sugestii i ujrzał jakoby „dwie postaci przezroczyste, niebieską i białą w formie podłużnej", ale że zapewne była to gra świateł.

W końcu nadleśniczy z Wielunia rozkazał ściąć sosnę, modlących się rozgonić, a wota, które do Matki Boskiej za cudowne uzdrowienia już przynoszono – wyrzucić. I tak się stało. Jednego popołudnia zajechał do lasu wóz w cztery konie zaprzężony, pełen tajnych policjantów z rosyjskiej ochrany, aż z Łodzi ściągniętych specjalnie. Nikt bowiem w okolicy ręki nie śmiałby podnieść na cudowne drzewo. Kobiety z Dzietrznik, mówią ludzie, były tam i wszystko widziały; była i Frania Pęcherz, i Marianka Midek, a wszyscy płakali głośno i rozpaczali.

Jęknęły piły, huknęły topory i wkrótce drzewo runęło na ziemię. Pocięte na kawały ułożono na wozie, woźnica zaciął batem, czterokonny zaprzęg napiął grzbiety i… nic! Wóz ani drgnął! Konie stawały dęba, rżały wniebogłosy, woźnica ciął batem, ruska ochrana pchała – na nic. Nie dało się sosny wywieźć z lasu dzietrznickiego. Ludzie najpierw oczom nie wierzyli, ale co zobaczyli, zanim tajna policja wszystkich rozgoniła, to bardzo dobrze zapamiętali i powtórzyli wiernie po powrocie do domów.

Ściętą sosnę w ciągu najbliższych lat pielgrzymi rozdrapali na drzazgi i zabierali ze sobą, wierząc w jej moc uzdrawiania. Kawałki drewna wykorzystywano do okadzania chorych. W miejscu zaś, gdzie rosło drzewo, pojawiło się źródełko, do którego pielgrzymowano teraz coraz liczniej. Nie dało się przepędzić wiernych z lasu. Bezradne były carskie władze, bezradny proboszcz miejscowy, który w kazaniach starał się napominać wiernych i odradzał im modlitwy w Dolinie Objawienia. Kościół zresztą oficjalnie nie uznał tych objawień, choć do dziś przy źródełku i figurze Matki Boskiej odprawiane są uroczyste msze.

Ludzie mówią, że woda ze Źródełka Objawienia cudownie uzdrawia, i tak jak sto kilkadziesiąt lat temu, nadal przychodzą tutaj się modlić o zdrowie, siłę i otuchę, czerpiąc spokój i ukojenie z leśnej ciszy. ♦

PIĄTEK

O GEOMETRYCZNYM **ŚRODKU POLSKI**

Wieki temu Król Kazimierz objeżdżając swoje ziemie wybrał się do pewnej miejscowości...

Były to akurat roztopy wiosenne. Na rozdrożu „na cztery strony świata" utknął w błocie cały orszak króla... i w ten przyziemny, i jakże niewinny sposób zaczyna się owa historia...

Tutaj lud mieszkał uprzejmy, a więc szybko przyniósł pomoc królowi, by ten mógł jechać dalej. Ponieważ rzecz działa się w Wielki Piątek, władca w podzięce nadał osadzie nazwę Piątek, jak również przywilej targowy na ten dzień tygodnia. Piątek rósł w siłę zwiększając swoje tereny, rozwijając się rzemieślniczo, ubogacając kulturalnie, aż pewnego dnia został miastem...

Wielu ludzi przyjeżdżało tu na targ, a w pierwszy piątek miesiąca na jarmark, o którym wspomniał niegdyś Henryk Sienkiewicz pisząc: „Kmicic w Piątku konia kupił...".

Miasto słynęło również z dobrze warzonego piwa z ponad 30 miejscowych browarów znanych, aż do granic państwa... ale to nie piwo, a piątkowskie niewiasty przykuwały największą uwagę... Często panny siadały nad rzeką, plotły wianki z kwiatów, a ich śpiew niósł się

po okolicznych polach i łąkach. Nieoczekiwanie, ponownie przejeżdżając przez miasto, dostrzegł je sam król... Zatrzymał się na moście i rzekł: „cudne jak maliny". Od tamtej pory piątkowska rzeka Maliną zwać się zaczęła przemierzając wartkim nurtem piątkowskie ziemie...

Mijały lata, pory roku naprzemiennie, jesień goniła zimę, wiosna lato, aż tu nagle... w ciemną noc jak smoła, wiatr przetaczał nad Piątkiem ulewę. Gdy kolejny piorun strzelił, oświetlając blaskiem rynek, oświetlił także stojący przed ratuszem głaz. Zdumieli się wszyscy, którzy przed burzą schronili się do ratusza. Zadziwili się jeszcze bardziej, gdy zobaczyli, że spod kamienia wydobywa się światło... Gdy świadkowie ciężko dysząc, przesunęli głaz, aż odskoczyli z wrażenia. Dół pod głazem wypełniało złoto i kosztowności. Na wierzchu leżał list adresowany do mieszkańców miasta...

Już w pierwszych zdaniach dla potomnych sprecyzowana była intencja nadawcy: „Szukajcie, aż znajdziecie, Piątek niepowtarzalnym jest w swym położeniu względem innych ziem i bogactw. Tutaj bije serce państwa naznaczonego bojem wielokrotnie, stąd wypływa polska myśl handlu i dobrodziejstw, a złoto przeznaczyć należy na..." i tutaj tekst blednie, litery w kształt nieczytelny zostały zatarte. Nie zastanawiając się długo jeden z mieszczan wraz ze stryjem rozpoczęli poszukiwania...

Z czasem dołączyli kolejni, po latach następni, Balik, Bryndziak i inni.

W jeden z piątków w Piątku, w pogodne przedpołudnie, pewien mężczyzna odezwał się do młodego chłopca:

– Chciałbyś pewnie odnaleźć to miejsce?

– Kto by tego nie chciał? – dopowiedział chłopiec i dodał: – Gdybym tylko wiedział, gdzie szukać...

– Ja mogę tobie pomóc – odparł nieznajomy mężczyzna – ale muszę Cię wpierw uprzedzić, że szukanie tego miejsca niesie ze sobą ryzyko.

– Kiedy chodzi o szukanie bogactwa, z pewnością może być niebezpiecznie – odpowiedział chłopiec do nieznajomego – powiedz mi jednak co mam począć?

– Musisz odnaleźć najdalej wysunięte ziemie państwa, pojechać tam na miejsce. Ujrzysz znaki, które doprowadzą cię do celu. A teraz moje ostrzeżenie: Cokolwiek się zdarzy,

na twojej twarzy nie może pojawić się złość ani smutek! Zanim chłopiec zdążył zadać kolejne pytanie, nieznajomy zniknął...

Chłopiec postanowił szukać owego miejsca w opisany przez nieznajomego sposób. Dotarł do Jastrzębiej Góry, odwiedził Osinów Dolny, Zasin i wszedł na sam szczyt Opołonek. W każdym z tych miejsc odnajdywał jedną czwartą złotej monety. Niezmiernie szczęśliwy połączył cztery części w jedną całość i wrócił do Piątku. Szukał dalej...

Po powrocie przemierzył całe miasto, w chwilach zwątpienia przypominał sobie o ostrzeżeniu nieznanego mężczyzny i rysował uśmiech na swej twarzy. Zaczął kreślić, wymyślać... Po skrzyżowaniu wszystkich linii okazało się, iż ich przecięcie właśnie Piątek wyznaczało... Z uśmiechem na twarzy ogłosił nowinę reszcie, określił punkt i w ten sposób po dziś dzień Piątek geometrycznym środkiem Polski się zwie.

A złoto... złotem podzielili się tutejsi, sfinansowali KAPSUŁĘ CZASU, zakopali pamiątki, w tym monetę z czterech części złożoną, by kolejni, przyszli mieszkańcy miasta, po 50 latach mogli dzielić się wspomnieniami tych co szukali... i znaleźli. ♦

POWIAT RAWSKI

TAJEMNICE
KSIĄŻĘCEGO ZAMKU

Górował niegdyś nad Rawą zamek książąt mazowieckich, imponująca twierdza na wzniesieniu, z ośmioboczną wieżą i tęgimi murami obronnymi. Do dziś ostały się jedynie fragmenty murów i wieża, mieszcząca oddział Muzeum Ziemi Rawskiej. Ale czy tylko?

Jest jeszcze opowieść o tragicznych losach rodu Siemowita, potężnego księcia – pana na Rawie, Czersku i Liwie, jednego z najznamienitszych władców Mazowsza. Budzi grozę, bo to najprawdziwsza, realna gra o tron. Głośne to były wypadki i skandal wielki wśród rodów książęcych w Europie, więc kto wie...

Jest także zjawa, która nawiedza ponoć ruiny zamku. Czyj to duch i dlaczego wraca z zaświatów, by błąkać się po rawskiej twierdzy?

Miała na imię Ludmiła czy Eudoksja, może Elżbieta, a może Anna, różnie to zapamiętano i spisano. Imię Anna widnieje w pewnym papieskim dokumencie, który otrzymali świeżo poślubieni małżonkowie: ona, księżniczka ziębicka i książę mazowiecki Siemowit.

Zbigniew Wołowiec

Była połowa XIV wieku. Panna młoda wychodziła za mąż po raz pierwszy, pan młody – nie taki wówczas młody – był wdowcem. Po stracie pierwszej żony zapadł się bowiem książę w rozpacz, trwonił czas na pijatykach i polowaniach, nie dbając o sprawy księstwa. Ale po ślubie z Anną – niech to już będzie Anna – panną „nader pięknego oblicza i powabnego ciała" (tak o niej pisze Jan z Czarnkowa), rozpogodził się książę, jakby lat mu kilkanaście odjęto. Nowa żona tchnęła w niego nowe życie, radość i energię.

Bo jak dzień nosi podszewkę z nocy, tak na każdy uśmiech księżnej przypadała jedna łza smutku i żalu za dwójką synaczków małych, co w kołyscе jej pomarli. Nie wypowie słowo, nie wypłacze oko żalu matki osieroconej...

Nie bardzo więc śmiała radować się księżna, gdy okazało się, że jest brzemienna po raz trzeci. Babkę zielarkę tylko kazała na zamek sprowadzić, by ta warzyła zioła, co wzmocnić miały i matkę, i dzieciątko. Widać już było po figurze księżnej, że rozwiązanie blisko, gdy Siemowit jechać musiał do Cieszyna, na dwór księcia Przemysława, szwagra swego, ważne sprawy omawiać. Tam, po wieczerzy powitalnej, suto miodami wybornymi podlewanej, siostra Siemowita rzekła do niego:

– Pójdź teraz, bracie, do komnat swoich, a jutro chcę pomówić z tobą. Mam wieści, które ci się nie spodobają, ale wiedzieć o tym musisz.

Roześmiał się Siemowit, podchmielony po uczcie. Nie usłyszał w głosie siostry ostrzegawczej, jadowitej nuty i poszedł na spoczynek, nic nie podejrzewając. Gdy wstał ranek, nie pamiętał już, co siostra mówiła – jakby beztroskę swą chciał zachować jak najdłużej, sam o tym nie wiedząc. Zła wieść jest przecie jak osa rozwścieczona – nie wiadomo skąd i jak nadleci, a ból umie zadać głęboki. Znalazła jednak siostra brata, a co mu do ucha naszeptała, sprawiło, że pobladł mocno, usta zacisnął, brwi ściągnął i zaraz w drogę powrotną do Rawy ruszył, popędzając konia bez litości.

Ledwo bramy rawskiego zamku przekroczył, już rozkazy wydawał, od których osłupiała załoga stanęła w miejscu i patrzyła na pana swego z szeroko otwartymi ustami, jakby ten rozum postradał.

Tego wieczoru książę Siemowit pił do nieprzytomności, żeby nie myśleć o tym, co wiedział od siostry, żeby nie słyszeć krzyków dwórek swojej żony, torturowanych w lochach zamku. Miały wyznać, co wiedzą o tym, że księżna jakoby nie dochowała wiary mężowi, a dziecko, które nosi pod sercem, nie jego jest. Żadna nie przeżyła. Ale też żadna nie powiedziała na swoją panią jednego złego słowa. Bo to, co książę usłyszał w Cieszynie, było nieprawdą, Anna nigdy go nie zdradziła. Skąd więc siostra i szwagier mieli takie wiadomości? Nie wiadomo. Krążyła ponoć taka plotka po dworach Mazowsza i Śląska, ale nikt, widząc, jak bardzo Siemowit kocha swoją żonę, nie śmiał mu o tym powiedzieć. Dopiero siostra, która Anny nie znosiła, wykorzystała okazję.

Ciężarnej żony Siemowit tymczasem nie tknął. Kazał zamknąć ją tylko w wieży rawskiego zamku i pilnować dzień i noc. Sam wyjechał z zamku nazajutrz, by odnaleźć domniemanego kochanka żony i zemścić się na nim za hańbę. Dopadł go wreszcie gdzieś na pruskiej ziemi, kazał włóczyć końmi, a na koniec powiesić na przydrożnym drzewie.

Tymczasem Anna powiła dziecko, chłopca – dała mu na imię Henryk, ale niedługo cieszyła się synkiem. Pewnej nocy do wieży wpadło kilku zamaskowanych zbrojnych, zabrało go jej od piersi i na rozkaz księcia wywiozło w nieznane miejsce. Na próżno matka, która wcześniej już straciła dwoje dzieci, błagała oprawców, by zostawili jej dzieciątko. Na próżno przeklinała ich po trzykroć babka zielarka, którą wpuszczono do Anny jako jedyną pomoc przy porodzie i w połogu. Na próżno...

Gniew Siemowita jednak ciągle nie dawał się ukoić, nie przebaczył Annie wymyślonej zdrady. Nakłonił ucha złym podszeptom i wydał drugi, straszliwy rozkaz. Dobrze się domyślacie – to był wyrok śmierci. Siemowit rozkazał udusić swoją ukochaną żonę.

„Książę bolał bardzo nad tym czynem niegodziwym i póki żył, pokutować nie przestawał", pisze w swojej kronice Jan z Czarnkowa. Mówi też o tym, że przyszedł dzień, w którym Siemowitowi przywieziono małego Henryka, a ojciec ujrzał w chłopczyku ogromne do siebie podobieństwo. Legenda mówi, że widok syna, tak podobnego, zrobił na księciu ogromne wrażenie. Siemowit miał stracić przytomność, długo go cucono.

Później pokochał chłopca szczerze – a, jako że miał z pierwszego małżeństwa dwóch synów, którym zostawił księstwo, łożył hojnie na naukę Henryka i dał mu probostwa łęczyckie i płockie.

Co zostaje po możnych tego świata? Jad plotek? Łzy niewinnie zamordowanej żony? Czy zjawa w białej szacie, duch nieznanej z imienia księżnej, nocami krążąca po murach rawskiego zamku i opłakująca tamte tragiczne wydarzenia? ♦

24

SADKOWICE

DUCH NIEWIERNEJ **W KALEŃSKIM PAŁACU**

Nieopodal Sadkowic leży Kaleń, a w nim piękny pałac, niektórzy mówią, że najpiękniejszy na całym Mazowszu. Stoi w parku pełnym kilkusetletnich dębów i modrzewi, z kolumnami u wejścia, zadbany dziś i odnowiony po wielu latach trudnej historii. Widok zachwyca już od samej bramy, a gdy gość spojrzy nieco w bok, zadziwi się, widząc wieżę z potrójnymi okienkami i orientalną kopułką, przypominającą nieco meczet. Skąd taka dziwna budowla wśród mazowieckich pól? Ach, nie wiadomo, można tylko snuć domysły albo posłuchać pewnej opowieści...

Gdy letni księżyc jest w pełni, tym, którzy zasnąć nie potrafią, ukazać się może w kaleńskim parku widmo pięknej pani w długiej sukni. Powiadają niektórzy, że to nieprawda, że to księżycowa poświata płata oczom figle. Inni znowu gotowi przysięgać, że na własne oczy Panią z Kalenia widzieli, ba, mówią nawet, że jeśli kto ma serce otwarte i nieskore do sądów pochopnych, usłyszy, jak cichutko nuci:

Jeszcze i mnie da Bóg czas, w którym ja to sprawię,
Że swoją niewinność w sercach waszych stawię,

Artem Pomelnikov

A ci, którzy mnie teraz jak najgorzej tuszą,
W swoim własnym nieszczęściu potopić się muszą...

Dawno to było, jeszcze w miejscu dzisiejszego pałacu stał dwór murowany, niewielki, ale z wieżą wysoką, jeszcze modrzewie i dęby wokół nie tak stare były. Żył sobie we dworze pan Mateusz, szlachcic bogaty, co owdowiał świeżo i nowej żony szukał w okolicy. W niedalekim majątku wielkiej urody była panna, Katarzyna jej było na imię, a jako jedynaczka posag miała otrzymać znaczny. Zaczął więc pan z Kalenia w odwiedziny przyjeżdżać, z ojcem panny o interesach rozmawiać – ile pól i lasów ma który, ilu chłopów na pańszczyźnie, ile wołów, ile sągów drewna, a ile grosza żywego w komorze. Po wyjeździe gościa matka Katarzyny pytała męża, co to za konszachty, a on wzruszał tylko ramionami i coś tam pod nosem bąkał, żeby się nie wtrącała.

Ale matka, niewiasta nie w ciemię bita, szybko zgadła, o co chodzi i dnia pewnego rzekła do męża:

– Wiem, że to o Kasię targi robicie z tym panem Mateuszem. Zastanówcie się, panie. Córka u nas jedyna, hoża i mądra, wiano obfite ma, mogłaby przebierać w zalotnikach. Na pewno chcecie ją dziadowi staremu oddać, jak jałówkę jaką? Za morgi ziemi dziecko własne przehandlować?

– Milcz, kobieto! – wrzasnął Kasiny ojciec. – Świętych praw gościnności mi nie śmiesz gwałcić... – nie dokończył, bo matka głos podniosła jeszcze bardziej:

– Prawo gościnności dobrze ja znam, mój panie! Tu mi nic nie zarzucisz! A córka moja to nie bażant pieczony, żebym ją miała gościowi, choćby i najzacniejszemu, na srebrnym półmisku podawać! – i wybiegła z izby stołowej. Sługi, co pod drzwiami podsłuchiwały, ledwo zdążyły odskoczyć, przerażone, że gniew pani na nich się teraz skupi, ale nie. Wzburzona gospodyni nie miała głowy do tego. Pośpieszyła do córki, zamknęły się u niej na klucz i długo rozmawiały.

Panna Katarzyna nie zeszła na wieczerzę tego dnia, a rano blada była bardzo i oczy miała jak królik czerwone od płaczu. Kucharka utuliła ją serdecznie do swej piersi obfitej i słodkim kołaczem nakarmiła. Wiedziały już wszystkie kobiety w gospodarstwie, co się święci. I wiedziały,

że żadna z nich wpływu nie ma na to, co zdarzyć się musi. Taki to był czas – nie dziewczynie decydować było o tym, za kogo za mąż wyjdzie. Opłakiwały więc Kasię po kątach, choć do wesela daleko jeszcze było, a jedna służka, Katarzyny równolatka i powierniczka, pluć nawet zaczęła panu do polewki porannej, dopóki jej kucharka nie okrzyczała strasznie.

W końcu się stało, wydali Kasię za mąż za pana Mateusza. Choć na weselu grajkowie grali najskoczniej, choć gorzałki ani jadła nie brakło, dziwna to była noc. Panna młoda ani słowem się nie odezwała, ani oczu nie podniosła. Pan młody-niemłody za nic miał te humory, myślał, że przejdzie dziewczynie, jak już panią na Kaleniu będzie. A może i nic nie myślał. Bo przecie nie żona do miłowania była mu potrzebna, a gospodyni na majątku, a że ta właśnie z wianem bogatym dostać mu się miała – tym lepiej.

Panna Katarzyna rozum i wolę po matce odziedziczyła, tajniki gospodarskie znała, umiała z ludźmi rozmawiać, żadna z niej rozpieszczona pannica nie była, więc miejscowa służba szybko ją polubiła i szanować zaczęła. A że wzięła Kasia z domu rodzinnego tę służkę, która jej przyjaciółką była, miała komu się wyżalić, na męża poskarżyć, który tylko po polowaniach jeździł, żony nigdzie nie zabierał, raz w miesiącu z rachunków ją rozliczał i tyle. Ani słowa miłego nie powiedział, ani w nocy w izbie nie odwiedził ni razu. Choć z tego ostatniego to Katarzyna akurat rada była najbardziej.

A stało się tak pewnego dnia upalnego, że poszła do stajni, źrebaka nowego obejrzeć, co tej nocy właśnie przyszedł na świat. I stało się tak, że klacz, dziecka swojego broniąc, zarżała przeraźliwie i wspięła się na tylne nogi, chcąc Katarzynę odstraszyć. I stało się tak, że Michał, młody stajenny, jednym ruchem odciągnął panią swoją na bok z takim impetem, że na stertę siana upadli razem. I stało się tak, że w oczy sobie z bliska spojrzeli i oboje bardzo się przestraszyli tego, co tam zobaczyli, bo wiedzieli zaraz, co to będzie...

I było, oj, było! Krew nie woda, mówią ludzie, i mają rację. Pewnie, że cały folwark wiedział. I pewnie, że stronę Kasi i Michała wszyscy trzymali, i pomagali im przed panem zataić to miłowanie.

Ale razu jednego pan Mateusz wrócił wcześniej z polowania, gdy nikt się go nie spodziewał. I dziwnie jakoś, czego nigdy nie robił, wszedł zaraz do wieży. Przeczucie jakieś go

wiodło? Kto wie. Na burzę się miało tego dnia. Ciemne chmury właśnie nad folwark nadciągały. Drzwi do wieży jeszcze dobrze się za panem Mateuszem zatrzasnąć nie zdążyły, a już jego ryk wściekły rozdarł powietrze niczym huk gromu po błyskawicy, a potem dwa strzały z gwintówki, jeden po drugim. Prosto w serce trafił Katarzynę, a Michała między oczy. I wiedział, że spowiadać się z tego nie będzie nigdy.

Służbie nakazał mówić, że pani ze stajennym uciekła. Zagroził, że wychłosta i broną na polu rozedrze, jeśli kto rozpowie, jak naprawdę było. Co zrobił z ciałami kochanków, nikomu nie powiedział. Kasinej służki-powierniczki nikt słuchać nie chciał, przepędzono ją z majątku na cztery wiatry. Ale tajemnice mają to do siebie, że prędzej czy później wychodzą na jaw. Pana Mateusza sam los ukarał, zginął na polowaniu rok po tych zdarzeniach. Folwark trafił w inne ręce i wtedy to właśnie po parku zaczęła krążyć zjawa wielkiej urody, żaląc się na swój smutny i straszny los. ♦

SŁUPIA

JAK ANDRZEJ **LICHO POKONAŁ**

Niedaleko folwarku w Słupi, obok stawów, niebezpiecznie było chodzić. Mówili ludziska, że złe tam mieszka, że wieczorem i w nocy słychać często wrzaski i śmiechy szydercze, i hałasy – coś jakby kucie młotami. A niejeden w karczmie opowiadał, że i Borutę samego tam widział, a to jako konia czarnego, co ogień z chrap wypuszcza, a to jako wielką, rogatą rybę, co z łowiska się wychyla i oczami złotymi łypie złowieszczo. Ze Słupi do Łęczycy nie tak daleko, może i Boruta mógł się zapuścić w te strony, gdy karpi tłustych ze stawów mu się zachciało. A może i nie, może to inne licho było, tych przecież nie brakuje po polach i lasach.

Ale żył, był w Słupi jeden Andrzej, który byle czego się nie lękał. Najsilniejszy w powiecie, w barach tęgi, umiał wóz drabiniasty nad głową unieść, gdy pusty, a gdy pełny siana, to i sam za dyszel dał radę uciągnąć. Tak mówili przynajmniej ludziska. Przystojny był chłop, gdy przez wieś szedł, dziewuchy się aż czerwieniły, chichotały, trącały łokciami jedna drugą i zapaskami się zasłaniały, żeby coś tam sobie szeptać o nim. Bo nie miał Andrzej Andrzejowej jeszcze.

Artem Pomelnikov

Dlatego, kiedy Marcin z sąsiedniej Modły Maryśkę swoją za mąż wydawał, wszystkim pannom z powiatu aż serca trzepotały, czy przyjdzie Andrzej na zdawiny, czy nie przyjdzie, i z którą tańcował będzie, a z którą nie. Przyszedł, a jakże. Marcin, gospodarz bogaty, sprosił gości wielu i wyprawił taką uroczystość, jakiej okolica jeszcze nie widziała. Piwa ani gorzałki braknąć nie śmiało, od kołaczy, kiełbas, flaków, kapusty z grochem, pasternaku i serów stoły aż się uginały, a oberki to nie jeden grajek, a cała kapela tak skocznie grała, że aż nogi same podskakiwały w miejscu. No, weselisko po prostu!

A to dopiero zdawiny, wesele prawdziwe po ślubie kościelnym miało być przecież. Cmokali ludziska z zachwytu, najedli się, napili, przy rozplecinach klaskali w dłonie, gdy Maryśka przez łzy śpiewała:

A mój ty warkocku corniuchny
Bywałeś ty mi miluchny
Co sobota-m cię mywała
Co niedziołecka – cesała...
A mój warkocku rozkośny
Nie docekałeś do wiosny...

Któż z takich godów rychło się wynosi? Andrzej tańcował ze wszystkimi dziewczynami, przepijał tęgo do kumów i znajomków, nareszcie nad ranem zmęczeni goście usłyszeli, jak druhny śpiewają:

Dobronoc pani matce, dobronoc,
Dobrą nockę oddajemy,
Sami służką ostajemy, dobronoc.
Dobronoc panu ojcu, dobronoc...

... i tak żegnając śpiewem kolejno pannę młodą, pana młodego, swatów, drużbów, muzykantów, dawały gościom znaki, że zabawa ma się ku końcowi.

Trzeba było do domu wracać. Zorze jeszcze nie wstały, jak to jesienią, gdy noce dłuższe, szedł więc Andrzej brzegiem Łupi po ciemku i śpiewał sobie głośno:

A ciesy się, ciesy cała rodzinecka
Ze Maryśka donosiła do casu wianecka...

... i takie tam inne przyśpiewki, co mu w ucho na zdawinach wpadły. Nawet nie zauważył, jak dotarł do stawów, nie zwrócił uwagi, że woda aż się jakby zagotowała, zaszumiała, coś błysnęło, trzasnęło, i oto brodaty jakiś pan w czarnym płaszczu stał nagle przed Andrzejem na ścieżce.

– Co za licho? – mruknął do siebie Andrzej, a do nieznajomego: – Witajcie, panie, skądzeście tu się wzieni?

– Witajcie, Andrzeju. A idę sobie ja podróżny ku Gzowu, dobrze idę?

– Ano niedobze. Do rozstajów musicie wrócić. Chodźta ze mną, powiem wóm, którędy – odrzekł Andrzej.

I poszli razem. Ale coś mu nie pasowało w nieznajomym. Czy że podróżny niby, a bez tobołka idzie nijakiego, czy że dziwnie jakoś głowę trzyma i przygląda się Andrzejowi. Zdenerwował się chłop w końcu:

– Cóz sie tak gapicie na mnie, jako wół na stodołę? Pod nogi patrzta, ciemno jeszcze.

– A co wy tacy delikatni, Andrzeju? Popatrzeć nie wolno? – zapytał szyderczo nieznajomy i popchnął go, żartem niby, ale ciut za mocno. Oj, zagotowała się gorzałka w Andrzeju! Dotarło wreszcie, że obcy, a po imieniu do niego mówi! Jak Andrzej się nie obróci, jak go za poły płaszcza nie złapie... Bić jeszcze nie chciał, tylko ostrzec dziada, ale ten kopnął go boleśnie w goleń i więcej już słów ani gestów nie było trzeba.

Bójka się rozpętała, już się mocują, już w uściskach, a gdzie Andrzej rąbnie, tam trawa nie rośnie. Ale czuje, że jest jakby w kleszczach, chciał więc brodacza za kudły złapać, wtem zmacał jakieś wyrostki nad czołem.

– O Jezus Maryja, diabeł! – puścił go i w tej chwili przeżegnał się szkaplerzem. Na to obcy się odsunął i zasyczał jakby, uciekać chciał, ale nie tak szybko!

Andrzej łapie go za kołnierz i dręczy szkaplerzem, i woła:

– A nie ucieknies mi, piekielna zarazo, będziem się próbować, kto silniejsy. Jo bójki w połowie nie zostawiom! Nie honor to!

Na te słowa brodacz rzucił się w wody łowiska – jakby sto koni wpędził do wody, taki szum, taki tętent, taki ryk! Gorąca piana wystąpiła z brzegów, ochlapała Andrzeja. Ten przeżegnał się jeszcze raz, splunął soczyście i poszedł do domu.

Następnego dnia opowiedział w karczmie chłopom to zdarzenie, oni powtórzyli babom i od tamtej pory nikt już na tej ścieżce nogi nie postawił. Omijali te rozstaje, zwłaszcza nocami nikt się nie kwapił tamtędy chodzić. Nawet jeśli miał na skróty.

W każdym razie – do pewnego czasu. Bo przecież wiadomo, że w łowisku przy dawnym folwarku w Słupi tylko tłuste karpie, liny, karasie i amury pływają sobie i czekają na wędkarzy, a nie żaden diabeł, Boruta czy inny. Prawda?

Nadleśnictwo Spała

O TYM, DLACZEGO SPAŁA **SPAŁĄ SIĘ NAZYWA**

Spała, położona w sercu Puszczy Pilickiej, wśród dziewiczej przyrody nad Pilicą i Gacią, przyciąga jak magnes. Ta wypoczynkowa miejscowość leży niedaleko – ledwie godzinę drogi – od Warszawy. Nie dziwi więc, że dla mieszkających w stolicy włodarzy urok tej osady, w połączeniu z bliskością, był – i jest nadal – atutem niezaprzeczalnym. Zauroczył ten czarodziejski zakątek polskich królów, później, podczas zaborów rozkochali się w Spale rosyjscy carowie, a po odzyskaniu niepodległości, w dwudziestoleciu międzywojennym – prezydenci Polski mieli tu swoje letnie rezydencje. I Pilicki Park Krajobrazowy, i samą miejscowość uwielbiają dziś wczasowicze, a i ci, którzy szukają aktywniejszego wypoczynku. Obfitość atrakcji Spały i okolic jest bowiem ogromna.

Ale zacznijmy od początku – czyli od nazwy.

Powiadają ludzie, że zdarzenie, od którego nazwę wzięła ta osada, miało miejsce wiele, wiele wieków temu.

Był to dzień świętego Huberta – święto myśliwych, które wypada w pierwszych dniach listopada. Choć zwykle o tej porze czuć już w powietrzu tchnienie zimy, a bywa niekiedy,

Zbigniew Wołowiec

że i po pierwszym śniegu jadą konie, tamtego roku było inaczej. Wyjątkowo ciepły i słoneczny dzień przywitał myśliwych, którzy zjechali do Czekaju, pięknej osady w Puszczy Pilickiej. Knieje ówczesne pełne były zwierzyny rozmaitej, od leśnego drobiazgu i ptactwa, przez średnie stworzenia, aż po te największe – żubry, łosie, jelenie, dziki. Polowania były jedną z ulubionych rozrywek na średniowiecznych dworach, a te na grubego zwierza stanowiły wyłączny przywilej panujących.

Toteż Hubertus, ów dzień świątecznego polowania, przygotowywany był od wielu dni. Łowczy i borowi wytropili już zwierzynę, tak by konni myśliwi mieli już na wstępie przewagę, i by zapewnić sukces polowaniu, które tego dnia miało zakończyć się wielką ucztą.

Jak to bywa w takich razach, kręciło się wokół orszaku mnóstwo narodu. Prócz wynajętej do polowania nagonki pełno było wiejskich dzieciaków, z otwartymi z ciekawości buziami obserwujących przygotowania.

Wreszcie zabrzmiał róg, i myśliwi ruszyli w las. Księżna na swojej ukochanej karej klaczy odsunęła się nieco w bok, bo rejwach był dla niej nie do zniesienia. Bolała ją głowa od rana, potrzebowała ciszy. Sygnał zakończenia polowania niesie się przecież daleko, więc usłyszy go na pewno. Poza tym przecież nie śmieją zacząć uczty bez niej. Robiło się duszno, wraz z podnoszącym się coraz wyżej słońcem podnosiły się też poranne mgły. Pośród myśliwych, rozgrzanych już nalewką i perspektywą rychłej gonitwy za zwierzyną, nikt nie zwrócił uwagi na oddalającą się księżnę. Klacz szła stępa leśną drogą, czując, że pogrążona w myślach amazonka ledwie trzyma lejce. Zatrzymały się gdzieś nad Gacią, strugą płynącą przez las…

Tymczasem polowanie rozpoczęło się na całego. Ścigano tura! Czarny, stary byk, o pięknych, wygiętych jakby w kształt liry rogach, umykał jednak myśliwym, niesamowicie wręcz zwinnie kryjąc się przed nagonką i za nic nie chciał biec w stronę, gdzie okolono fragment lasu specjalną siecią, po to, by zwierzę w pułapce można było zakłuć oszczepami. Psy szalały, nagonka jakoś się rozproszyła, chłopi, wynajęci do tej pracy, zupełnie stracili serce do działania. Wyglądało na to, że święty Hubert postanowił tym razem sprzyjać turowi, nie myśliwym.

Mocno zirytowany książę w tym zamieszaniu nie spostrzegł nawet, że nigdzie nie ma jego córki. Ochmistrz dworu w wielkim przerażeniu wyobrażał już sobie karę, jaką władca

wymierzy mu za nieudaną organizację polowania, a gdy w dodatku zorientował się, że księżnej nie ma wśród myśliwych, wycofał się chyłkiem, z zamiarem ucieczki, a przynajmniej ukrycia się na jakiś czas przed książęcym gniewem.

Dopiero po powrocie do Czekaju, po zakończeniu polowania – tur ocalał, życie położyły za to sarny, jelenie i kilkanaście lisów – książę zauważył nieobecność córki. Kazał grać raz po raz sygnał zakończenia polowania, a gdy to nie przyniosło skutku, rozesłał gońców po kniei, by szukali, gdzie mogła przepaść władczyni. Ciemno już było, listopadowe słońce chowa się wcześnie, toteż zastępy konnych z pochodniami, hukające wśród puszczy, stanowiły niezwykły widok. Co z tego, gdy księżnej ani śladu nigdzie nie było... Sam książę, choć strudzony polowaniem wielce, i rozjuszony do żywego, siadł wreszcie na koń i ruszył na poszukiwanie córki.

Kto wie, czy by ją znaleźli, gdyby nie dzieciarnia. Małe łobuzy były wszędzie, niczym stwór jaki mityczny o stu oczach, i wszystko widziały. Długo ich nikt słuchać nie chciał, w końcu osaczyły w stajni ochmistrza, co po kryjomu juki pakował, by odjechać cichaczem, i powiedziały mu, gdzie jest księżna i co robi. Ten pomyślał, że oto nadarza mu się szansa odzyskać łaski księcia, i pobiegł we wskazane przez dzieciarnię miejsce.

Niebawem głos rogu zagrał triumfalnie na odnalezienie księżnej. Książę spiął konia i pogalopował przez las do Czekaju, gdzie goniec obwieścił mu radosną nowinę:

– Jest, panie! Znalazła się księżna na polanie! Spała!

Rzeczywiście, jeszcze przed rozpoczęciem polowania księżna zsiadła ze swojej klaczy i wyczerpana migreną położyła się na chwilę na brzegu Gaci, na derce zdjętej spod siodła. Przespała całe polowanie! Po prostu – cały czas spała.

Tak więc miejsce, gdzie odnaleziono księżną, nazywano od tej pory Spałą.

Powiadają jednak inni, że inaczej to wszystko było, że Spała nazwę swoją bierze od młynarzy nazwiskiem Spałowie, co nad Gacią mieli młyn swój i folusz, to jest urządzenie do zagęszczania tkanin. Po nich ślady w dokumentach z XVIII wieku zostały, w których to mowa o tym, że od wieków młyny Spałów w tym miejscu stoją.

A wy – którą opowieść wolicie? ♦

Nadleśnictwo Spała

O TYM, JAK **PREZYDENT MOŚCICKI W SPALE BYWAŁ**

Jest w Spale taka ławeczka, na której siedzi prezydent Mościcki, w stroju myśliwskim, gotów do polowania. Obok niego Lord – wierny pies, towarzysz polowań i znany złodziej prezydenckich skarpetek. Jak to, zapytacie, teraz siedzi? Posłuchajcie.

Przy Harcerskiej, na Stawie za Turbiną jest maleńka wysepka, a na niej – pomnik Ignacego Mościckiego, trzeciego prezydenta Polski międzywojennej (urzędował dwie kadencje, w latach 1926-1936). Można wejść na wysepkę, przechodząc przez mostek, można nawet usiąść obok prezydenta i zrobić sobie z nim zdjęcie.

Ale niejedyne to miejsce, w którym Spała upamiętnia Ignacego Mościckiego, zostało tu po nim wiele wspaniałych śladów, pamiątek, wspomnień i tradycji.

Była to jego ulubiona letnia rezydencja. Wiecie już, że Spała leży niedaleko stolicy, podróż nie jest długa – tak więc nie tylko letni wypoczynek, ale i wiele innych okazji sprowadzało tu prezydenta i jego gości.

Zbigniew Wołowiec

W Spale bywał wcześniej także Józef Piłsudski. Dochodził tam do zdrowia po ciężkiej grypie w 1921 roku, w tym samym roku spędził też w Spale Wielkanoc i Boże Narodzenie. Spokoju i ciszy w Puszczy Pilickiej szukał przyjeżdżający do Spały prezydent Stanisław Wojciechowski, który od hucznych przyjęć i polowań wolał samotne spacery i grę w brydża. Odwiedzali go na letnisku generał Władysław Sikorski, premier Stanisław Grabski...

Jednak dopiero za czasów Ignacego Mościckiego Spała zaczęła tętnić życiem nie tylko jako letnisko – na jego słynne garden party, rozliczne przyjęcia i rauty, wreszcie polowania, których prezydent był namiętnym miłośnikiem, zjeżdżali dyplomaci, politycy i cała śmietanka towarzyska ówczesnej Warszawy.

By przyjąć tylu znakomitych gości – a rauty te urządzano nawet i na dwieście, trzysta osób – potrzeba było nie tylko miejsca w salach czy ogrodach, ale i kuchni, miejsc noclegowych, stajni... Wzniesione wówczas, dały podwaliny dla otwartego po wojnie Centralnego Ośrodka Sportu, jednego z największych w Europie kompleksów treningowych. Jest tu pływalnia, hale sportowe, stadion...

Pomyśleć, że to dzięki myśliwskiej pasji prezydenta! O tak, prezydent Mościcki był zapalonym myśliwym. Ileż to polowań odbyło się w Spale – nie zliczyć! Liczba 132 większych i mniejszych wypraw myśliwskich z zaledwie dwóch lat – 1933 i 1934 – pozwala przypuszczać, że polowano tam przynajmniej co tydzień. Jak i na co? Można sądzić, że średniowieczny przywilej polowań na grubego zwierza, animalia superiora, należny władcom, nie tak całkiem odszedł do historii...

Był prezydent wielkim przyjacielem leśników i myśliwych. Ów naukowiec i wynalazca, z wykształcenia chemik, przed prezydenturą rektor Politechniki Lwowskiej i profesor Politechniki Warszawskiej, wielki orędownik rozwoju gospodarczego Polski, nowocześnie jak na tamte czasy myślał także i o gospodarce leśnej.

Dzięki niemu sprowadzono do Polski dar Polonii kanadyjskiej – cztery amerykańskie bizony. Przekazane administracji państwowej i przewiezione do Książa nieopodal Spały, początkowo były zoologiczną atrakcją; miejsce ich pobytu zwano Zwierzyńcem. Wkrótce

dołączyły do nich żubry, dziś ta najstarsza w Polsce placówka to właśnie Ośrodek Hodowli Żubrów, chętnie odwiedzany przez turystów. Nosi imię Ignacego Mościckiego.

I nie jest to jedyny związek prezydenta z żubrami. Nieoficjalnym herbem Spały jest żubr. Posąg tego zwierzęcia, stojący dziś w centrum Spały, także ma swoją niezwykłą historię.

Wzniesiony został 160 lat temu nieopodal Białowieży, na pamiątkę polowania tam cara Aleksandra II, który – jakoby – położyć raczył wyjątkowo okazałe zwierzę jednym strzałem. Z Białowieży posąg ów zabrano podczas I wojny światowej do Moskwy, jednak Polska wystąpiła o jego zwrot. O dziwo, Rosjanie zwrócili żubra. Stanął on następnie na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie, skąd rozkazem prezydenta Mościckiego przeniesiono go do Spały. Sądzicie, że to koniec przygód żubra? Otóż nie – pod koniec II wojny Niemcy chcieli zabrać go do Berlina, nie udało się to, jednak jeden z oficerów... odciął posągowi łeb! Oficera zastrzelono, łeb przyspawano na miejsce. Po wojnie jednak o żubra zaczęła upominać się Białowieża.

Jeśli to nie jest historia Polski w pigułce, to doprawdy – co lepiej może opisać to nasze przepiękne, choć przedziwne i trudne miejsce na mapie świata?

Wróćmy jednak do międzywojnia – bo żubry, polowania i przyjęcia to nie wszystko, co działo się w Spale dzięki prezydentowi Mościckiemu. Ogromnym echem we współczesnej Polsce odbiły się spalskie dożynki, zorganizowane w 1927 roku. Zjechało na nie ponad dziesięć tysięcy osób w delegacjach rolniczych z całego kraju, a w następnym roku liczba uczestników zwiększyła się niemal cztery razy. Tak gigantyczny napływ gości wymuszał, rzecz jasna, kolejne inwestycje.

Szczególnie, że do Spały chcieli przyjeżdżać również przedstawiciele innych środowisk i organizacji: a to kursanci Związku Strzeleckiego na obozy i szkolenia, a to Polski Czerwony Krzyż, a to manewry i spotkania przysposobienia wojskowego, a to harcerze...

Związek Harcerstwa Polskiego miał w 1935 roku w Spale wspaniały, międzynarodowy zlot – pojawiło się tam ponad 20 tysięcy uczestniczek i uczestników ze skautowskich organizacji z całego świata.

Jak wyglądałyby dalsze losy Spały, gdyby nie wybuch II wojny światowej? 1 września 1939 zmusił prezydenta Mościckiego do opuszczenia Spały, a wojenne losy tak zrządziły, że nigdy już tu nie powrócił – zmarł rok po wojnie we Francji.

Ale pamięć o prezydencie, który uczynił Spałę drugim w Polsce – po Zamku Królewskim w Warszawie – reprezentacyjne miejsce spotkań na najwyższym szczeblu, trwa i nie zanosi się na to, by o jego zasługach szybko tu zapomniano. ♦

STRZELCE

O ŁUCZNICZCE **BOGNIE**

Na gostynińskiej ziemi, którą dwie rzeki – Wisła i Bzura – w ramiona biorą, leżą Strzelce. Wieś to dawna i zacna, a w herbie ma trzy złote okręgi i złotą kuszę. Komuś, kto czytać herby potrafi, już na ten widok cząstka dziejów się odsłoni.

Trójłucze, te trzy koła splecione ze sobą w kształt, jaki widać w oknach gotyckich kościołów, to symbol Świętej Trójcy. I rzeczywiście – w Strzelcach stoi kościół pod tym wezwaniem, wzniesiony w XIV wieku, krótko po tym, jak król Kazimierz, ostatni z Piastów, nadał tę ziemię swoim strzelcom. Dziś tylko nazwa i kusza w herbie przywołują pamięć dawnych wieków. I nikt nie pamięta czasów, gdy strzelcy królewscy wznosili tu pierwsze chaty i karczowali puszczę.

Po prawdzie, to i nie mógł pamiętać ich już sto lat później zacny gospodarz Mikołaj. Tyle wiedział o tamtych dniach, co z pradziada opowieści, a wiele tego nie było. Co po ojcach miał na pewno, to bystre oko i silną dłoń do naciągania cięciwy. I piękne kusze, co w komorze na ścianie wysoko wisiały.

Tak się przynajmniej Mikołajowi jeszcze przed chwilą zdawało, gdy siedział przed chatą, grzejąc się w popołudniowym słońcu. Bo oto właśnie z błogiej drzemki wyrwała go… strzała, która – niewprawną ręką w ruch widać puszczona – spadła mu nagle koło stopy.

Tomasz Ściolny

– Bogna, dziewczynisko ty nieusłuchane, a chodźże mi tu zaraz! – wrzasnął rozjuszony, zrywając się na równe nogi.

Zza gruszy wyjrzała dziewczynka z płowym warkoczem. Ze spuszczoną głową, wlokąc za sobą kuszę, podeszła do ojca.

– Nie gniewajcie się, panie ojcze, ja tylko…

– Ilem to razy ci gadał, że broni z komory masz nie ruszać, szelmo! Wzięłabyś się do dziewczyńskich zajęć wreszcie!

– Ale tatko…

– Co tatko, co tatko! Jak tyś tę cięciwę zdołała… – Mikołaj gotował się jeszcze, ale coś takiego już było w prostym, otwartym spojrzeniu córeczki, że długo się na nią gniewać nie umiał.

– Nauczcie mnie strzelania, tatko, proszę… – i jeszcze te rączki jak do modlitwy ułożyła, patrzcie ją.

Mikołaj wzniósł oczy do nieba:

– Święta Trójco, a miej mnie w opiece, bo nie zdzierżę. –

Oj, mieli Mikołaj z Mikołajową kłopot. Nie dał im Bóg syna, córkę tylko, choć Mikołajowa i w kościele do Świętej Trójcy modły zanosiła, i do zielarki starej, Małgorzaty, po wywary – biegała. Nic nie pomogło. Bogna tylko jedna, śliczna i zdrowa dziewczynka na świat przyszła. Ale jakby Pan Bóg na niebiosach jeszcze i zażartować chciał z Mikołajów, córka im rosła dzika jak pokrzywa. Ani do haftu, ani do śpiewu, ani do modlenia, ani do przędzenia – nic, tylko po lesie uganiała, po drzewach jak wiewiórka skakała, jajka z gniazd jak łasica wybierała, gęsi płoszyła, aż warkocz wiecznie potargany tylko za nią furczał. Oj, mieli kłopot. A teraz jeszcze to – z kuszy ją naucz strzelać. Będzie musiał z żoną pomówić wieczorem.

I pomówił Mikołaj z żoną, i popłakała Mikołajowa, i poszła znów do zielarki Małgorzaty po radę, a potem jeszcze raz do Świętej Trójcy. I siedli rodzice jedynaczki, i z nią się w końcu rozmówili. O czym wtedy gadali, nikt nie wiedział w całej wsi, tylko Małgorzata. Ale ona pary z gęby nie puściła nigdy – a ładnych to już kilka lat minęło – choć wiele bab ciekawskich pytało ją o to.

Bogna wyrosła na piękną dziewczynę. Pomagała matce przy gospodarstwie jak umiała, choć niechętnie. Chleb piekła na przykład wyborny, ale już jak nić uprzędła czy kurę oskubała, to

Mikołajowej tylko taka pionowa zmarszczka spomiędzy brwi zejść nie chciała, a i siwych włosów na skroniach przybywało. Nie gadała też już nic Mikołajowa, gdy mąż jej z córką raz na jakiś czas znikali w lasach na parę dni. Ustalili, że nie będą o tym gadać i już. Tak było. Większe są nieszczęścia, dumała sobie czasem Mikołajowa, oj, większe.

– A gdzie to Bogna wasza, co? – ciekawski głos sąsiadki wytrącił Mikołajową z takiej właśnie chwili zamyślenia. Stała nad zagrodą dla kaczek z przetakiem w ręku, chciała im jeszcze podsypać otrąb, zanim pójdą z mężem na turniej popatrzeć.

– Nie poszła ona tam do rycerzy aby? Panna jak malwa dorodna, oczy aż rwie, chłopaki za nią sznurem, a ona…

– Oj, kochana, a to nie wasza koza tam w szkodę polazła, w Andrzejów marchew? – wdzięcznie zmieniła temat Mikołajowa. Strzepnęła przetak i wykorzystując zaabsorbowanie sąsiadki, odwróciła się na pięcie i poszła do chaty, korale i chustę założyć. Czas było na turniej iść, jeśli dobre miejsca mieli jeszcze znaleźć.

Gdzieś daleko zawsze jest wojna, ale cięciwy strzeleckich kusz napinały się w obronie Korony wiele, wiele lat temu – w wielkiej grunwaldzkiej bitwie, gdy pod księciem mazowieckim Siemowitem w bój poszły ze strzelczanami. Pomarli dawno ci kusznicy, a ich dzieci i wnuki rzemiosłem wojennym już parać się nie musiały, tyle co na zwierzynę zapolować czasem albo – jak dziś – zmierzyć się w zawodach strzeleckich.

Bo raz w roku odbywał się w Strzelcach turniej strzelców, na który przyjeżdżał wraz z małżonką i całą świtą rawski wojewoda Jan Grot. Wielkie to było święto dla całej wsi i okolic, aż z Gostynina, ba, aż z samego Płocka do Strzelc na ten dzień goście zjeżdżali. Rycerzy zatrzęsienie, rżenie koni, upał, kurz w powietrzu, ścisk, nawoływania kramarzy, wrzaski dzieci – po prawdzie pod koniec zawodów wszyscy byli już trochę zmęczeni, i zawodnicy i publiczność. Ale po rozniesionych niemal w pył słomianych tarczach czekała na strzelców jeszcze jedna, ostatnia, najtrudniejsza konkurencja – trzeba było ze stu kroków trafić w bryłkę soli.

Wyczyn nie lada. Oto trójka najlepszych kolejno składa się do strzału, dwóch odpadło, żegnanych przez gawiedź jękiem zawodu i gwizdami. Wreszcie do strzału składa się ostatni.

Cisza jak makiem zasiał.

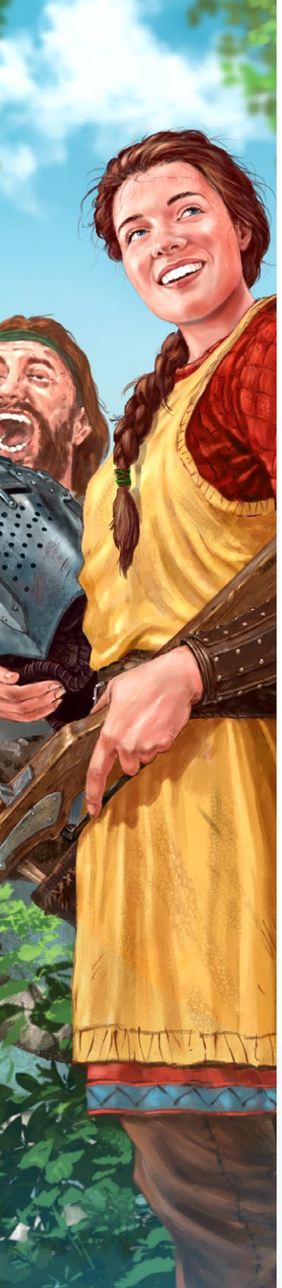

Puszczona cięciwa śpiewa przeciągle, strzała strąca z miejsca bryłkę soli, tłum zrywa się z miejsc i wyje ze szczęścia, gdy wtem…

Spod hełmu zwycięzcy wysuwa się długi, płowy warkocz!

Nad placem zapada cisza.

– Dyć to nasza Bogna! – Stasiek, wioskowy głupek, wykrzyknął wreszcie na głos to, co wszyscy już i tak wiedzieli. Bogna zdjęła hełm i dumnie odrzuciła znad oczu spoconą grzywkę. Ukłoniła się wojewodzie, ale nie spuściła z niego hardego spojrzenia. Wojewoda przygryzł wąs, nie wiedząc, co ma począć z tak śmiałą dziewczyną. Nagrodzić ją za znakomity strzał czy ukarać za zuchwalstwo?

Wtem z miejsca poderwała się wojewodzina.

– Czyż nie talent się tu liczy? Gorszy ten, kto jest w spódnicy? – zapytała głośno. Podeszła do Bogny, wzięła z jej rąk kuszę, naciągnęła cięciwę i strzeliła w sam środek tarczy.

Takich wiwatów i krzyków radości – już nie wiadomo, czy na cześć Bogny, wojewodziny, czy wojewody, który nagrodził Bognę pokaźnym trzosem talarów – Strzelce nigdy dotąd nie słyszały. Do późnego wieczora paliły się ogniska i lały strugi miodu, rycerze zalecali się do Bogny, Mikołaj tańczył z Mikołajową, wojewoda patrzył wojewodzinie głęboko w oczy, i wszyscy byli bardzo szczęśliwi. Nawet koza, która – przez nikogo w końcu nie przeganiana – wyjadła Andrzejom całą marchew. ♦

STRZELCE WIELKIE

O STRZELCU **JANIE**

Dawno, dawno temu, około roku pańskiego 1386, kiedy królem Polski został Władysław Jagiełło, w dolinie rzeki zwanej Pisią, była sobie niewielka osada o nazwie Szczelcze, której mieszkańcy byli wyśmienitymi łucznikami. Osada owa otoczona była wszechobecnymi w tamtych czasach lasami i leżała na terenach ziemi sieradzkiej. Lasy te pełne były zwierzyny, na którą mieszkańcy Strzelec chętnie polowali. Życie w osadzie było spokojne. Mieszkańcy żyli zgodnie z rytmem przyrody, uprawiali bowiem ziemię, która dawała im pożywienie. Pobliska rzeka pozwalała na połowy ryb, a cała okolica roiła się od wszelkiego gatunku ptactwa.

Każdy z mieszkańców wsi był biegły w łuczniczej sztuce, jednak jeden z nich przewyższał wszystkich umiejętnościami, a był to młodzieniec imieniem Jan. Swoim orężem posługiwał się z wyjątkową sprawnością, szybkością i precyzją. Nigdy nie wracał z polowania z pustymi rękoma, wzbudzając podziw wśród ludzi z okolicy. Sam pochodził z ubogiej rodziny, jednak nie zamykał serca na innych i zawsze chętnie pomagał potrzebującym. Byli jednak i tacy, w których wyjątkowe zdolności Jana wzbudzały zazdrość, tym bardziej,

że swoją postawą i umiejętnościami imponował okolicznym dziewczętom. On jednak trzymał swoje uczucia tylko dla jednej z nich – Ewy, która była córką najzamożniejszego gospodarza, a o której rękę nie śmiał się starać, gdyż nie posiadał wiele i wiedział, że ojciec dziewczyny wyśmieje go i splami tym samym jego męski honor.

Ewa widziała w oczach Jana miłość, pomimo że on starał się ukryć swoje uczucia. Sama również odwzajemniała jego uczucie, ale widziała, że jej rodzina nie zaakceptuje biednego młodzieńca, choćby był najlepszym strzelcem. Pewnego dnia spotkali się nad rzeką. Słońce już zachodziło za horyzont, dając mieszkańcom wytchnienie w letni dzień, pełen ciężkiej pracy.

- Nie wiedziałam, że mogę cię tu spotkać – rzekła Ewa lekko się czerwieniąc.

- Ryby łowię, ot co. Bóg da, to i kolacja dobra będzie – odrzekł chłopak.

- To może i dla mnie złowisz? – zapytała i obdarzyła go czułym spojrzeniem, sprawiając tym samym, że młodzieniec zebrał się na odwagę i wyznał swoje uczucia.

Młodzi byli zakochani. Wiedzieli jednak, że ojciec dziewczyny na pewno nie zgodzi się na ślub i to sprawiało, że oboje czuli się bardzo nieszczęśliwi.

Od spotkania nad rzeką mijały dni. Jan i Ewa spotykali się podczas codziennej pracy mieszkańców Strzelec, którzy zbierali plony. Z końcem lata, kiedy dni stawały się już coraz krótsze, młodzieniec zebrał w sobie całą swoją odwagę i udał się do ojca Ewy, aby poprosić o jej rękę.

- Wiem Piotrze, że jesteście największym gospodarzem w naszej osadzie. Ja jednak kocham waszą córkę i proszę was, abyście pozwolili mi ją poślubić.

Ojciec dziewczyny był człowiekiem statecznym i w głębi serca podziwiał odwagę chłopaka. Gdyby nie jego ubóstwo nie miałby nic przeciwko temu, aby jego córka go poślubiła. Nie mógł jednak pozwolić sobie na to, aby młodzieniec widział w nim wahanie.

- Janie! Wiesz, że szanuję cię jako sąsiada i uważam za najlepszego strzelca w naszej osadzie. Ludzie mają o tobie dobre zdanie, bo jesteś uczciwym młodzieńcem. Nie mogę pozwolić jednak na to, żeby Ewa została twoją żoną i wystawić się na pośmiewisko. Musisz się z tym pogodzić.

Młodzieniec zrozumiał, że przekonywanie ojca Ewy jest bezcelowe, a kilka dni później dotarła do niego nowina, że jego ukochana zaręczyła się z synem zamożnego gospodarza z okolic Brzeźnicy. Pewnego dnia, kiedy spotkali się przypadkiem, Ewa wyznała mu jednak, że nadal żywi do niego uczucie, ale oboje nie mogą sprzeciwić się woli jej ojca.

Mijały tygodnie i dni robiły się coraz zimniejsze i ponure. Często padały deszcze, a drzewa w lasach rozbłysły paletą barw. Nadeszła jesień, a wraz z nią coraz więcej ludzi z okolicy rozpoczęło częstsze polowania. Zbliżał się też dzień ślubu Ewy. Jan, aby ukoić ból złamanego serca, bardzo dużo czasu spędzał chodząc po lasach lub siedząc nad rzeką. Były to czasy, kiedy człowiek czuł się częścią natury, był jej przyjacielem, a ona odpłacała mu z nawiązką, nie tylko żywiąc go, ale również pomagając mu przezwyciężać bóle duszy, które towarzyszą ludzkości od wieków.

Pewnego dnia, niedługo przed planowanymi zaślubinami Ewy, Jan chodząc po lesie, zorientował się, że nie jest sam. Wśród drzew dojrzał sylwetkę ojca Ewy, który najwyraźniej wybrał się na polowanie. W pierwszej chwili Jan chciał ujawnić swoją obecność, jednak kiedy zorientował się, że Piotr jest w towarzystwie przyszłego zięcia, zrezygnował.

– Nie będę się rzucał w oczy – pomyślał i już miał się oddalić, kiedy usłyszał głośny ryk.

– Boże drogi, toż to niedźwiedź! I w dodatku atakuje tych dwóch! – Jan, mało myśląc, rzucił się na ratunek mężczyznom.

Kiedy był już blisko, z wycelowanym łukiem, na którym naciągnięte były trzy strzały, zdążył zauważyć, że ojciec jego ukochanej został sam. Mało myśląc wycelował w zwierzę i niedźwiedź został zabity.

Jan podszedł do Piotra. Ojca Ewy palił wstyd, a jednocześnie wypełniała go wdzięczność dla Jana za uratowanie życia.

- Ten tchórz uciekł! Zostawił mnie na pastwę losu i gdyby nie twoja odwaga, już bym nie żył. Dziękuję. – powiedział Piotr. – Jestem twoim dłużnikiem. Wiem, że kochasz moją córkę, a tamten człowiek dziś udowodnił, że nie jest wart funta kłaków, a co dopiero jej ręki. Za to, co dla mnie uczyniłeś, zgadzam się na wasz ślub.

Jan nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał, ale widząc powagę na twarzy przyszłego świekra, zrozumiał, że będzie mógł poślubić ukochaną. Mężczyźni wspólnymi siłami zawlekli zabitego niedźwiedzia do osady, gdzie opowiedzieli całą historię wszystkim mieszkańcom. Ewa na wiadomość o zgodzie ojca na ślub z Janem wybuchnęła płaczem, oczywiście ze szczęścia.

Młodzi pobrali się niedługo później, a ich potomkowie przekazywali sobie łuczniczą sztukę z pokolenia na pokolenie, a na pamiątkę tejże historii w herbie gminy Strzelce Wielkie znajdują się trzy strzały w locie. ♦

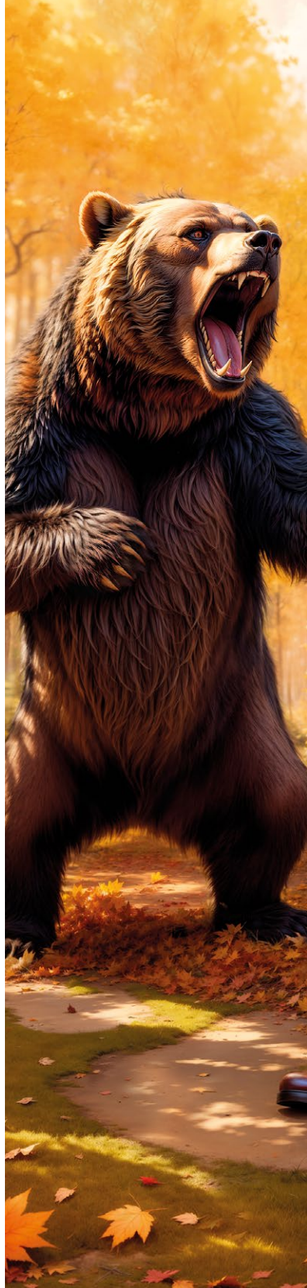

30

WITONIA

JAK EKONOM **CARSKIEGO POLICJANTA SIĘ POZBYŁ**

—Nu, szto, gaspadin Łazinskij, kak wasze zdarowie? – nieprzyjemnie zaśmiał się major Paszczenko, zeskakując z bryczki na folwarku w Gledzianowie. Młody ekonom Józef Łaziński stał wyprostowany, zaciskał tylko mocno dłoń na lasce, którą się podpierał, bo przestrzelona pod Kterami noga nie była mu jeszcze zupełnie posłuszna.

Był rok 1866, już dwa lata mijały od upadku powstania styczniowego. Kilku towarzyszy wróciło z zesłania na Syberię, inni pisali podania, by pozwolono im wrócić w rodzinne strony. A na polskich ziemiach zaborca nie dawał spokoju byłym powstańcom. Pod ciągłym nadzorem carskiej policji byli ci, którzy ocaleli – ci, których nie rozstrzelano i nie powieszono. Długo ciągnęła się lista obserwowanych i nękanych: byli na niej sadownicy i służący, szewcy i chłopaki z cukrowni w Leśmierzu, tkacze, handlarze świń, fornale i stolarze – jak wszyscy szli do powstania, ramię w ramię chłop, pan i robotnik, tak teraz po równo każdy upokorzenia od ruskiej władzy doznawał. Nie darowali carscy słudzy

Wojciech Depczyński

nawet ciężko rannym, co jeszcze w domach do zdrowia dochodzili. Nie dziwota, że część z rozpaczy umykała za granicę, by nigdy nie wrócić.

A wolnej Polski w 1918 roku doczekali nieliczni tylko, ci najmłodsi, co do powstania jako podrostki szli...

Rozumiecie już, czemu pan Łaziński tak mocno dłoń zaciska na lasce – nie, nie na eleganckiej jakiejś, mahoniowej zabaweczce ze srebrną rączką, co to to nie! Pan Łaziński chodzi po folwarku, podpierając się grubym, sękatym kosturem, takim jak u dziada proszalnego. Boją się wszyscy tej jego lagi, że w gniewie przyłoży po grzbiecie, ale niepotrzebnie. Pan Józef jest człowiekiem wielkiego opanowania, głosu nigdy nie podnosi, a już kostura – tym bardziej. Nawet na majora Paszczenkę, który bezczelnie, w zabłoconych buciorach, potrącając pana Józefa, wchodzi nieproszony na ganek. Wie, obrzydliwiec, że dziedzic Bagniewski z żoną nieobecny, w Warszawie interesy załatwia. I skąd on to wie, kto mu donosi, kto tu na folwarku jest szpiclem? Dałby wiele pan Józef, żeby to wiedzieć.

Na razie w myślach podnosi kij i wali Paszczenkę w kark – jak Moskali w bitwie pod Kterami w lipcu 1863. Ale tylko w myślach. Nie mógłby tego zrobić, nie tutaj.

Nadal nie mówiąc ani słowa idzie za Paszczenką do gabinetu. Major bez pytania zaczyna przeglądać księgi rachunkowe – widać, że tępy jest i nic z tego nie rozumie, ale kto mu zabroni paluchami tłustymi przerzucać strony, więc przerzuca. W ogóle nie chodzi mu o to, żeby coś sprawdzać, tylko i wyłącznie o to, by upokorzyć, poniżyć, pokazać, kto tu rządzi.

– Nu, charaszo, gaspadin Łazinskij – Paszczenko jakby się nagle znudził. – Wsio. Da swidanja.

I wychodzi, smarkając po drodze w palce.

Pan Łaziński nie odprowadza gościa, patrzy tylko przez okno, jak major wsiada do bryczki i odjeżdża. Siada wtedy ciężko w dębowym swoim krześle i przekłada z powrotem strony w rachunkowej księdze.

Mądry z niego człowiek. Uczony, ale też mądry życiowo, mimo lat 31 dopiero. Wie, czego lepiej nie robić, a co można. A wśród rzeczy, które można – co warto, a czego na pewno

nie. Dlatego też nie reaguje na chamstwo Paszczenki, obserwuje za to pilnie wszystko, co dzieje się na folwarku, a zwłaszcza to, co robią służący po wyjeździe majora.

I wie już prawie na pewno, kto majorowi donosi.

Pytanie, co z tym zrobić.

Cena, jaką ziemia łęczycka, ba, cały polski naród – zapłacił za powstanie styczniowe, była straszliwa. Pamięta dobrze pan Łaziński, jak płonęło Dalikowo po bitwie, jak księdza proboszcza żywcem w kościele spalono, jak grzebać powstańców nie pozwalano godnie, jak wieszano... Ech, do dzisiaj bezpiecznie nie jest, za byle co setki rubli grzywny każą płacić.

A jednak. Coś ze szpiclem trzeba będzie zrobić, i coś zrobić z Paszczenką. Gorszego już nie przyślą, myśli pan Józef. Zamyka oczy i zaczyna dedukować, zupełnie jak ten francuski detektyw w książce Edgara Allana Poe, którą niedawno czytał.

I wtedy przychodzi mu do głowy nadzwyczajny pomysł. Rozegra Paszczenkę metodami carskiej policji. Z obrzydzeniem, ale stawka jest ogromna. To będzie blef. Dobry jest w szachy pan Józef, przewiduje kilkanaście ruchów do przodu, i wiele możliwych wariantów. Już wie, że wygrał z Paszczenką.

Wzywa do siebie lokaja. Mówi, patrząc mu prosto w oczy:

– Wiem, że donosisz Paszczence. Jeśli życie ci miłe i jeśli chcesz posadę zachować, zrobisz to, co powiem.

Lokaj nie zna gry w szachy, kieruje się w życiu doraźną korzyścią i lękiem. Paszczenko mu nie płaci, straszy tylko torturami i wywózką na Sybir. A pan Józef nie owija w bawełnę: lokajskie życie szpicla ma za nic. Więc albo ten plan, albo śmierć. Lokaj jeszcze myśli, że mógłby uciec, ale nie bardzo wie, dokąd – z łatką donosiciela w żadnym majątku pracy nie znajdzie, a fizyczną robotą się brzydzi. Godzi się więc na blef pana Józefa.

Nazajutrz Paszczenko staje pod carskim sądem wojennym i tego samego dnia kibitka wywozi go na zesłanie, na Sybir. Za co? Za pewien list, którego nikt na oczy nie widział, a w którym rzekomo mowa o powstaniu i o dużej ilości pieniędzy, jakie przeszły z rąk do rąk. Słowem: o tym, że Paszczenko jest zwyczajnym łapówkarzem i chroni byłych

powstańców za pieniądze. Ten list nie istnieje, jest tylko donos lokaja. Ale leniwej, tępej i bojaźliwej carskiej policji to wystarczy. Major Paszczenko znika z planszy. Lokaj jest pod kontrolą.

Nowy policjant, zastępca Paszczenki, zgodnie z przewidywaniami jest nieporównanie mniej nachalny, więc pan Józef Łaziński – były powstaniec styczniowy, ranny pod Kterami – może nadal w ukryciu prowadzić tajne komplety dla chłopskich dzieci. ♦

31

WITONIA

O TYM, CO SIĘ W JESIENNĄ **RÓWNONOC ZDARZYŁO**

Pierwsze pisemne wzmianki o Witoni mają lat ponad 600 – wiemy więc na pewno, że już w XIV wieku była tu wieś i kościół. Ale osada jest z pewnością o wiele starsza, a pierwsi mieszkańcy tych okolic żyli tu na długo, długo przedtem, nim mówić możemy o zalążkach państwa polskiego. Kim byli ci Prasłowianie? A może Celtowie? Wandalowie?

Nieopodal drogi, co łączy Nędzerzew z Gledzianówkiem, wznosi się kurhan – kopiec usypany nad grobem wodza czy władcy, przeszło półtora tysiąca lat temu. I jest też głębiej, pod kurhanem, jeszcze starsze cmentarzysko ciałopalne z epoki żelaza – znak, że żyli tu ludzie, umierali, chowali i opłakiwali swoich bliskich od dawien dawna. Z kurhanu, co przed laty został splądrowany, archeologowie po II wojnie światowej wydobyli zaledwie dwa nożyki, kilka skorup glinianych i szklane krążki – jakby pionki do jakiejś gry, której domyślać się tylko możemy.

Jak zginął ów władca czy wódz, który spoczął w kurhanie? Jest taki moment w opowieściach, gdy oddalić się możemy nieco od realiów i zająć bezkarnie zmyślaniem – od tego są gawędy.

Wybierzmy więc wodzowi imię. Może Gromił? To imię od pioruna, od grzmotu. Niech taki też będzie i wódz: chmurny, szybki jak grom, nieprzebłagany jak burza. Niech boją się go niewiasty i dziatwa, niech boją wojowie w tej osadzie, co szesnaście wieków temu tu była.

I tylko jeden pies, wielki, szary, podobny bardzo do leśnego wilka i jak leśny wilk chudy, niech Gromiła się nie boi.

Dziwne to – Gromił, który życie ludzkie miał za nic, który za byle przewinienie ścinać kazał głowy, na tego psa nigdy ręki nie podniósł ani go nie odpędził. Pies spokojny był, nie szczekał, nie warczał nawet, a mimo to ludzie z osady omijali go z daleka. Gadała do psa i karmiła go wieszczka z osady, Żywia o jednym białym oku i dłoniach sękatych. A wiedźmy tej, co przyszłość znała, uroki odczyniała i leczyła rany, nawet śmiertelne, bali się wszyscy bardziej jeszcze niż wodza.

Nadszedł dzień jesiennej równonocy, a dziwnie gorący i duszny był jak na tę porę roku. Osada przygotowywała wielką ucztę, w której udział wziąć mieli wszyscy, dziękując Matce Ziemi za tegoroczne plony. Dziewczyny od rana plotły wieńce ze zbóż, traw, jarzębin i głogu, rozpalano ogniska, na których miało się piec mięso, próbowano miody i piwa, czy aby moene i dobrze uwarzone… Tego dnia broń i tarcze wisiały w komorach, nikt nie miał ich wyciągać. Na pięści najwyżej się pobiją po północy, który tam za dużo wypije. Nos rozkwaszony czy oko podbite – to jedyne rany tej nocy będą, nie trzeba będzie prosić Żywii o maści ani wywary.

Ale wiedzieli wszyscy, że jesienna równonoc to także czas, gdy musi zapanować równowaga: między światłem a ciemnością, między złem a dobrem. Gdy dzień i noc trwa tyle samo, nie może żadna krzywda zostać bez kary. Rachunki muszą zostać wyrównane. Jeśli tak się nie stanie, niełaskawe będą duchy przez cały następny rok.

Ściemniło się już – jak to we wrześniu, wcześnie – a uczta trwała w najlepsze. Przy ognisku nie było tylko Żywii i szarego psa. Wiedźma siedziała w swojej chacie nad misą wody, wpatrując się w nią i szepcząc zaklęcia. W chacie kłębił się dym z bylicy i szałwi. Powierzchnia wody zmarszczyła się nagle, jakby nad nią powiał wiatr, zmętniała… Żywia zamknęła oczy, zaczęła mówić coraz głośniej, dziwne, nieznane słowa przeszły w śpiew. Pies, leżący dotąd spokojnie u jej stóp, nagle podniósł głowę i zawył przeciągle.

Zaklęcia musiały mieć wielką moc – bo oto siedzący przy ognisku Gromił wstał, chwycił się za szyję, próbował krzyczeć, ale głos uwiązł mu w gardle, padł na kolana, a potem twarzą na ziemię. Tańczący w blasku ognia nie zatrzymali się, nikt nie zauważył, że władca upadł. Dopiero po chwili żona Gromiła krzyknęła głośno, zatrzymując korowód.

Ale było już za późno. Władca nie żył.

We wsi rozpętał się chaos. Przerażeni biesiadnicy krzyczeli coś jeden przez drugiego, małe dzieci, które już usnęły, obudziły się z głośnym płaczem, psy rozszczekały się wniebogłosy. Nagle wśród krzyków i bezładnej bieganiny do ogniska podeszła Żywia i podniosła w górę obie ręce.

– Byłeś władcą wielkim – zawołała. – Aleś słowa danego duchom nie dotrzymał i za to zginąć musiałeś!

Wszyscy zatrzymali się w miejscu, umilkły psy i – co najdziwniejsze – także płaczące niemowlęta.

– Gdyś rok temu na polowanie wyruszył, zabiłeś jelenia, który do bogini Leli należał. Miałeś winę swoją odkupić i złożyć jej ofiarę ze swojego syna. Nie zrobiłeś tego przez rok cały. Śmierć za śmierć, śmierć za śmierć, śmierć za śmierć – zaintonowała ponuro Żywia.

Wokół ogniska płacz znów rozległ się wielki, który trwał do rana.

Dnia następnego ciało Gromiła złożono na starym cmentarzysku. Nie spalono go na stosie wraz z żoną, bo już tego nie było wtedy w zwyczaju. Choć zawinił bogom, życiem zapłacił i wyposażony został na drogę szczodrze, jak na wodza przystało. Misy i dzbany gliniane, żelazne ostrogi i srebrną klamrę do pasa, nóż, nożyce i tarczę do grobu mu włożono, miecze oba, jakie miał, także – te jedynie zgięto i złamano wpół, jak kazał zwyczaj.

A nad grobem jego kurhan usypano. ♦

ZDUNY

O HANECZCE I WYCINANKACH

Znacie łowickie wycinanki? Na pewno. Ich uroda zapiera dech. Mienią się kolorami jak koguci ogon, jak kwitnące latem łąki, jak jesienne kosze pełne owoców. Gwiozdy, tasiomki, kodry – tak brzmią ich ludowe nazwy – oszałamiają bogactwem i są dziś są znane na całym świecie. To chyba najsłynniejsze polskie motywy zdobnicze, które szturmem wzięły współczesne wzornictwo i inspirują artystów nie tylko rodzimych.

Ciekawi jesteście, skąd się wzięły?

Wyobraźcie sobie wieś sprzed dwustu lat. Niech to będzie Złaków – to tam właśnie powstały pierwsze wycinanki. Mieszkała w Złakowie Haneczka, ciekawe, wesołe dziecko, Maciejów córka. Kochała wszystko, co kolorowe.

– Sroka jedna – sarkała nieraz na nią matka, gdy Haneczka znowu jej spod ręki sreberko po pieprzu czy czerwony papierek po cykorii zwinęła. Brwi marszczyła dla zasady, ale po dobroci, nie szło się gniewać na dziewuszkę przecież. Raz jeden tylko okrzyczała córkę strasznie. Bo wyobraźcie sobie, wychodzi Maciejowa przed chałupę, a nagietki, malwy, rumianki – jej duma i radość – wszystkie oskubane, łyse stoją! Nie czas był to jeszcze

Zbigniew Wołowiec

na zbiory – z suszonych płatków malwy, czyli prawoślazu, robiła Maciejowa napary na kaszel, z nagietków znowuż na ran gojenie... Zezłościła się więc setnie i nic Haneczce nie pomogło, gdy pokazała matce widoczki piękne, które z kwiatów i papierków zrobiła w dołku wydłubanym w ziemi i nakrytym kawałkiem stłuczonej szybki. Wieczorem, gdy Maciejowa ochłonęła, posadziła córeczkę w kuchni przy stole i powiedziała jej, co i jak, że kwiaty nie tylko są dla ozdoby, ale i dla pomocy ludziom. Że wszystko, co się robi w życiu, musi mieć jasny i dobry cel na uwadze. Mała słuchała z otwartą buzią i nie wiadomo było, czy coś z tego rozumie, ale Maciejowa z pewnością poczuła się lepiej.

Niewiele zresztą czasu miały wiejskie dzieci na zabawę w tamtych czasach. Nie, że wcale, ale przydatne musiały być w gospodarstwie. Kto nie pracuje, ten nie je, mówiło się wtedy. Tak też Justyna, starsza siostra, brała nieraz Haneczkę ze sobą, gdy trzeba było do dworu iść, w kuchni pomóc, gdy goście do państwa przyjeżdżali, a przyjeżdżali często. Lubiła Haneczka do dworu chodzić, kucharki jej tam zawsze coś słodkiego ukroiły, a poza tym, ach, jak tam było pięknie! Na ścianach, Boże ty mój, jakie cudne obrazy, jakie szafy w kwiaty malowane... Tu pasterka z owieczką, tu staw z trzcinami, tu dróżka kręta, tu panie jakieś śliczne w samych koszulach na łodzi... Ach! Wymykało się nieraz dziecko z kuchni, żeby postać w pokojach i popatrzeć na te scenki, i opowiadać sobie w myślach historyjki o tym, dokąd te piękne panie w łodzi płyną po ciemku... Zamarzyło się jej. Też by chciała takie obrazki na ścianach mieć. A że sprytna była dziewuszka, wymyśliła, jak to zrobi.

I zaczęło się. Widziała wcześniej Haneczka, jak matka z babami ze wsi w zimowe wieczory wystrzyga z białego papieru firaneczki do kuchni. Bardzo jej się to podobało i zawsze chciała spróbować, ale nie dawały jej – że jeszcze rączki za małe ma, że nożyc nie utrzyma. Patrzyła więc zachłannie, jakby chciała te wycinanki zjeść oczami, widziała, jak kobiety składają papier na pół, na pół i jeszcze raz na pół, jak czubkami nożyc skubią małe trójkąty i półkola, ostrożnie, żeby nie przerwać arkusika... Pomyślała Haneczka, że da radę, a przynajmniej spróbuje.

Gdy nikogo w sieni nie było, zawinęła z komory nożyce do strzyżenia owiec – wiedziała, że teraz nie czas na owce i nożyc nikt szukał nie będzie, zaszyła się w stodole na przygórku

i dalej wycinać. A to siebie z kogutem pod drzewem, a to wołki na polu, a to kwiaty z ogródka – jak widziała, tak wycinała, aż ręce ją bolały od tych owczych nożyc. A papier kolorowy to matce podkradła, to od sąsiadki wyprosiła... Przecudowne obrazki powstawały i dumna była dziewczynka jak paw, że tak ślicznie jej wychodzą.

Nareszcie jednak musiało się wydać – żniwa się kończyły, plony trzeba było do stodoły zwieźć, poukładać – i tak Hanczyne wycinanki znaleźli. A dużo ich było, oj, dużo! Gdyby jedna, dwie, góra trzy, może nikt by się nie przejął, ale tyle?! Pół ściany na przygórku przyozdobione. Maciejowa z Maciejem siedli w kuchni, co tu robić?

– Papier kosztowny. Nie może go dziewczynisko marnować dla zabawy – mówi Maciej.

– Ale wycinanki takie piękne, toż wyrzucać szkoda – cmokała Maciejowa, która serce miękkie miała dla córek swoich.

– Może i tak, ale nauczyć ją trzeba, że tak nie wolno.

No i zabronili Haneczce nożycami się bawić, papierki kolorowe odebrali. Oj, płacz był straszny... A jak wypłakała się dziewuszka, pociągnęła mocno nosem i pomyślała sobie, że choćby żabami z nieba prało, to odzyska i te nożyce, i te papierki, co je matka nie wiadomo gdzie schowali.

A schowała Maciejowa te córczyne wycinanki do skrzyni z paradną pościelą, głęboko, na samo dno. Przeleżały tam całą jesień i zimę i po prawdzie trochę się Maciejowej zapomniało o nich. Z wiosną, gdy czas na wietrzenie pościeli przyszedł, zobaczyła je znowu na dnie skrzyni i aż się zachłysnęła z zachwytu, takie były piękne. Wyjęła jedną po drugiej, popatrzyła:

– A, raz kozie śmierć – powiedziała sobie. Przykleiła obrazki do ściany w izbie i jakby słońce zatańczyło w chałupie, tak się miło zrobiło od razu. Podparła się pod boki i pomyślała, że trzeba będzie babom pokazać.

A jak baby się zwiedziały, to każda chciała od razu takie mieć! I zaraz niedługo, przed samą Wielkanocą, usiadły wszystkie z Haneczką i zaczęły wystrzygać, aż w oczach migało. I wzory na ściany, i na wydmuszki świąteczne, i do włożenia za szybkę. Zręczne palce miały złakowskie kobiety, i coraz piękniejsze wycinanki robiły, coraz bardziej wymyślne,

kolorowe. Coraz ślicznieksze scenki na kodrach się pojawiały, i muzykanci z instrumentami, i żniwa, i weseliska całe, i święconka, i wszystko, wszystko, co tylko na wsi się działo. Już żadna nie żałowała grosza na papiery kolorowe, glansowane, już każda chłopa przekonała, że tak właśnie teraz będą robić i koniec. Prześcigały się w wymyślaniu, w dobieraniu kolorów, aż wierzyć się nie chciało, że takie delikatnie koronki wielkimi nożycami owczymi da się powycinać.

A Maciejowa tylko co i raz na Haneczkę popatrywała, jak mała sobie radzi, z czubkiem języka wysuniętym z buzi i ze skupionym, zmarszczonym czółkiem. I serce jej jakoś tak żywiej biło, czy to ze wstydu, że zabrała wcześniej córce wycinanki, czy z dumy matczynej – sama nie wiedziała.

Dziś, po wielu latach, te wycinanki żyją nadal – drugim, niezwykłym, nowym życiem we współczesnym designie. Patrząc na nie, pomyśl, że są czymś więcej niż tylko ozdobą na ścianie, dowodem kunsztu i wyobraźni ludowych twórczyń. Są też symbolem marzeń, wytrwałości i odwagi małej dziewczynki ze Złakowa. ♦

SŁOWO OD WYDAWCY

„Legendy województwa łódzkiego" w profilaktyce uzależnień dzieci i młodzieży

Prezentowane w książce legendy, podania i gawędy historyczne posiadają bezsprzecznie istotny potencjał w zapobieganiu powstawania problemów alkoholowych i uzależnień wśród dzieci i młodzieży, bowiem są dla młodego czytelnika źródłem rezyliencji, czyli kluczowych czynników (zasobów) intrapsychicznych i interpersonalnych chroniących przed uzależnieniami:

- dostarczają pozytywnych wzorców zachowań z wyraźnym podziałem na dobro i zło
- kreują istotne wzorce osobowe poprzez ukazywanie bohaterów, których cechuje dobroć, odwaga, pracowitość, męstwo, opiekuńczość itp.
- wpływają na rozwój samoświadomości, definiowany jako kompetencja polegająca na dążeniu do realistycznego oceniania swoich możliwości i akceptowaniu własnych ograniczeń oraz umiejętności motywowania się do samodoskonalenia
- inspirują do podejmowania decyzji będących właściwym podejściem do rozwiązywania problemów życiowych, poprzez uczenie się od innych i wyciąganie wniosków z własnych działań oraz przejmowanie odpowiedzialności za własne sukcesy i porażki
- znajomość dziejów własnej miejscowości buduje poczucie tożsamości i siły, wzmacnia przynależność do lokalnej grupy społecznej, w której młody człowiek winien szukać wsparcia w przypadku pojawiających się problemów życiowych
- stanowią doskonałą pomoc dla młodego człowieka w rozwoju emocjonalnym oraz zrozumieniu i porządkowaniu własnych uczuć
- uczą nawiązywania relacji z innymi oraz realizacji społecznie akceptowanych zachowań, w ramach których dochodzi do inicjacji i podtrzymywania pozytywnych związków z innymi
- wzmacniają poczucie wpływu i kontroli, przez co kształtuje się samodzielność i poczucie własnej wartości
- tworzą wzorce samodzielnego poszukiwania sposobów rozwiązywania konfliktów, problemów czy trudności – poprzez identyfikację z bohaterem, młody czytelnik ma szansę dostrzec sposoby pokonywania przeszkód, których nie znał wcześniej; w ten sposób opowiadana historia staje się źródłem zrozumienia, a dziecko nie czuje się osamotnione ze swoimi problemami
- ułatwiają zrozumienie otaczającego świata, relacji społecznych, ludzkich odmienności
- wzbogacają doświadczenia i wyobraźnię, rozładowują napięcia emocjonalne, odciążają nadmierną wrażliwość, kompensują deficyt uwagi ze strony najbliższych
- kształtują świadomość społeczną, określaną jako umiejętność budowania relacji
- z innymi, poprzez okazywanie szacunku dla zachowań innych, rozpoznawanie wpływu innych na własne zachowanie oraz uwzględnianie wpływu własnych działań na zachowanie innych osób, z uwzględnieniem tolerancji i poszanowania odmienności
- wspierają samozarządzanie, polegające na rozpoznawaniu, kontrolowaniu własnych emocji i zachowań oraz na samomotywowaniu do podejmowania i realizowania wyznaczanych celów, mimo pojawiających się trudności
- wskazują na istotę osobistej odpowiedzialności, rozumianej jako tendencję do rzetelnego postrzegania własnego zachowania i adekwatnego reagowania na własne słabości w zakresie indywidualnych aktywności, współpracy partnerskiej i grupowej
- kreują optymistyczne myślenie będące postawą względem siebie i innych opartą na zaufaniu i nadziei oraz tendencją do obiektywnego i pozytywnego postrzegania siebie, swojej życiowej sytuacji w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Legendy posiadają niebagatelny walor edukacyjny nastawiony na rozwój umiejętności społecznych i poznawczych, będący czynnikiem ochronnym, który może kompensować niedostatki lub nieprawidłowości życia rodzinnego. Badania ewaluacyjne wskazują, że odpowiednio prowadzona edukacja dla dzieci z rodzin dysfunkcyjnych może ograniczać używanie substancji psychoaktywnych w okresie dojrzewania, a także ograniczać inne zachowania ryzykowne okresu adolescencji, zmniejszać ryzyko problemów psychicznych i sprzyjać karierze szkolnej. Edukacja wspierająca rozwój psychospołeczny i intelektualny jest bezdyskusyjnie skutecznym narzędziem profilaktyki zachowań ryzykownych. Jest wręcz przez badaczy określana metaczynnikiem chroniącym, który redukuje działanie wielu czynników ryzyka zachowań problemowych oraz zaburzeń zdrowia psychicznego.

Zespół redakcyjny

TELEFONY ZAUFANIA:

801 199 990

Ogólnopolski Telefon Zaufania Narkotyki – Narkomania

Pomoc w zakresie informacji, porad, wsparcia psychologicznego dla osób uzależnionych od narkotyków; osób okazjonalnie używających narkotyków; rodziców i przyjaciół osób używających narkotyków; pedagogów, nauczycieli, wychowawców; wszystkich innych osób zainteresowanych tym problemem.

www.kbpn.gov.pl

800 120 289

Infolinia Stowarzyszenia KARAN

Informacja skierowująca i pomoc w problemach związanych z narkotykami.

www.karan.pl

22 823 65 31

Telefon Zaufania Uzależnień Stowarzyszenia „Monar”

Pomoc w problemach związanych z narkotykami.

www.monar.org

22 844 44 70

Telefon Zaufania dla Rodzin z Problemem Uzależnienia

Towarzystwo Rodzin i Przyjaciół Dzieci Uzależnionych „Powrót z U”.

www.idn.org.pl

801 889 880

Telefon zaufania dla osób cierpiących z powodu uzależnień behawioralnych i ich bliskich

Pierwszy w Polsce telefon zaufania dla osób cierpiących z powodu uzależnienia od hazardu, Internetu, seksu, zakupów, pracy czy jedzenia.

www.uzaleznieniabehawioralne.pl

116 123

ePoradnia Psychologiczna Instytutu Psychologii Zdrowia PTP

Pomoc kierowana do osób dorosłych w kryzysie emocjonalnym, potrzebujących wsparcia i porady psychologicznej, młodych dorosłych, rodziców potrzebujący wsparcia w procesie wychowawczym i osób niepełnoprawnych.

www.116123.info

515 866 142

Telefon „Wsparcie Rodziców”

Telefon Wsparcia Rodziców dla rodzin zagrożonych pochopnym odebraniem dzieci.

www.rzecznikrodzicow.pl

116 111

Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę.

www.116111.pl

800 100 100

Telefon dla rodziców i nauczycieli w sprawie bezpieczeństwa dzieci

Pomoc dla rodziców i nauczycieli, którzy potrzebują wsparcia i informacji w zakresie przeciwdziałania i pomocy dzieciom przeżywającym kłopoty i trudności wynikające z problemów i zachowań ryzykownych.

www.800100100.pl

800 120 002

Niebieska Linia – Ogólnopolskie Pogotowie dla Ofiar Przemocy w Rodzinie

Pomoc psychospołeczna i prawna w zakresie przeciwdziałania przemocy w rodzinie.

www.niebieskalinia.pl

801 888 448

Telefon zaufania HIV/AIDS (Krajowe Centrum ds. AIDS)

www.aids.gov.pl

TEKSTY | **JOANNA KISZKIS**

DAMIAN URBANEK, *O GEOMETRYCZNYM ŚRODKU POLSKI*
MARTA BINEK, *O STRZELCU JANIE*

WYDAWCA | **QUIXI MEDIA**
KONCEPCJA WYDAWNICZA | **ANTONI BOCHEN**
REDAKCJA | **JOANNA WALENTOWSKA**
KOORDYNACJA PROJEKTU | **JACEK WIŚNIEWSKI, PIOTR WOŹNIAK**
SKŁAD | **DYRTA**

ISBN 978-83-61840-98-5